

INFORMATOR POLSKI





Oferujemy profesjonalną pomoc w znalezieniu najtańszego i najszybszego połączenia do i z Polski.

Bilety promowe, lotnicze, autobusowe, kolejowe

Wycieczki indywidualne, grupowe, biznesowe, szkolne

Hos PolenGO gør vi alt for at vise den bedste vej til Polen.

Vi skræddersyer alle rejser, om det så kun gælder transport eller hele pakken fra A-Z. Vi har stor erfaring med grupperejser for virksomheder, foreninger og skoler, og kender Polens muligheder godt.

Færger til Polen, flybilletter, bus- og togbilletter

Grupperejser, firmarejser, studie-, sport- og skolerejser



Twoja najszybsza droga do Polski! *** Den bedste vej til Polen!



Skolegade 2B, 2500 Valby



+45 44 45 12 80



www.polengo.dk



book@polengo.dk



Na okładce: obraz Elisabeth Jerichau-Baumann
„Matka Dania” z 1851 r.



Ze Stutthofu do Klintholm Havn – wspomnienia
Franciszka Wysockiego

INFORMATOR POLSKI

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wydawca: Roman Śmigiełski
www.informatorpolski.dk

Adres redakcji:
Ellemosevej 14, 4960 Høleby
Tel.: +45 61 86 33 31
E-mail: redakcja@informatorpolski.dk
Redaktor naczelny: Roman Śmigiełski

Kolegium redakcyjne:
Torsten Elsvor
Dominika Piłkuła
Patrycja Skłodowska-Kocewiak

Dział kolportażu i ogłoszeń: Roman Śmigiełski

Fotoskład: Dom Wydawniczy ELIPSA



Warszawa, ul. Inflancka 15/198
tel. +48 22 635 03 01

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.
Anonimów nie publikujemy.
Zastrzegamy sobie prawo skrótów i adiestacji tekstów.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.



Ślady polskich pisarzy w Wilnie



Płowdiw – jedno z najstarszych miast w Bułgarii

W NUMERZE

PRELUDIUM WOLNOŚCI.
STYCZEŃ–MARZEC 1981 | 5

KARTA. WIKTORIA 1920 | 11

ZE STUTTHOFU DO KLINTHOLM HAVN | 12
Franciszek Wysocki

KAZIMIERZ LESKI – POLSKI JAMES BOND | 16
Artur Zaborski

WIARYGODNOŚĆ– CIĄG DALSZY | 21
Roman Śmigieński

KUSTOSZ PAMIĘCI POLAKÓW NA „NIELUDZKIEJ
ZIEMI”. ROMAN DZWONKOWSKI SAC | 24
Ks. Edward Walewander

PRAWO ALIBO POZÓR | 27
Adam be

„LISINKA” – ELISABETH JERICHAU-BAUMANN | 29
Jerzy Miśkowiak

WILNO – ŚLADY POLSKICH PISARZY | 34
Roman Śmigieński

KOMITÉEN „STØT SOLIDARNOŚĆ” | 36
polenmu.dk

WITEK | 38

DZIECIŃSTWO NA FIONII.
WSPOMNIENIA CARLA NIELSENA | 39
Eva Maria Jensen

TRZEWIA JĘZYKA | 43
Anna Wiśniewska-Grabarczyk

CO TO ZNACZY BYĆ POLAKIEM
W POŁUDNIOWEJ BRAZYLII? | 48
Leszek Wątróbski

DEN FØRSTE KREDS – PIERWSZY KRĄG | 53
Filip Jacobson

KROTOS | 57

KĄCIK KULINARNY | 58

2020 BLIVER ET ÅR VI ALDRIG GLEMMER
I POLAKKASERNEN | 59
Torsten Elsvor

SZKOŁA. PRZEWODNIK PRAWNY
DLA POLSKIEJ RODZINY W DANII | 61

PUBLICZNA OPIEKA ZDROWOTNA
I WSPÓŁPŁACENIE, CZYLI DUŃSKI
SPOSÓB NA OCHRONĘ ZDROWIA | 63
AS

EKUZ | 64

PŁOWDIW | 66

OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy!

Niniejszy numer „*Informatora Polskiego*” to już kolejny, który ukazuje się tylko w formie elektronicznej. Tak jak poprzednie dwa numery, tak i ten został sfinansowany wyłącznie ze środków własnych redakcji. W tym numerze polecamy m.in. tekst doktora Jerzego Miśkowiaka o polsko-duńskiej artystce-malarce Elisabeth Jerichau-Baumann „Lisince”. Jeden z jej bardzo znanych obrazów *Matka Dania* zdobi okładkę tego numeru. Zamieszczamy pierwszą część bardzo ciekawych wspomnień Franciszka Wysockiego o tym, jak więźniowie obozu koncentracyjnego Stutthof pod koniec wojny dostali się do duńskiego portu Klintholm Havn. Przedstawiamy też sylwetkę Kazimierza Leskiego – polskiego Jamesa Bonda, który w czasie II wojny światowej, w mundurze niemieckiego generała, jeździł po okupowanej Europie. Z kolei słynny duński kompozytor Carl Nielsen jest tematem tekstu naszej redaktor muzycznej Ewy Marii Jensen. Leszek Wątróbski w rozmowie z etnografką dr hab. Karoliną Bielenin-Lenczowską stara się odpowiedzieć na pytanie: „Co to znaczy być Polakiem w południowej Brazylii?”. W materiale „Preludium Wolności”, przygotowanym przez Ośrodek KARTA, piszemy o wydarzeniach sprzed 40 lat, które doprowadziły do upadku komunizmu i powstania demokratycznej Polski. Wspominamy też duński epizod w życiu reżysera Aleksandra Forda, który właśnie w Danii nakręcił ekranizację powieści Aleksandra Solżenicyna *Krąg pierwszy*. Redaktor Torsten Elsvor pisze (po duńsku) o czasie pandemii w Muzeum Izba Polska w Taagerup. Poza tym w niniejszym numerze znajdziecie Państwo ciekawe materiały naszych stałych autorów: Adama Bielnickiego, Tadeusza Krotosa, ks. prof. Edwarda Walewandera, Ewy Michałowskiej-Walkiewicz i Anny Wiśniewskiej-Grabarczyk.

Redakcja przyjmuje duże i drobne ogłoszenia, także prywatne.

Redakcja „*Informatora Polskiego*”

życzy Czytelnikom

zdrowych i spokojnych

Świąt Wielkanocnych!

GOD PÅSKE!



PRELUDIUM WOLNOŚCI

STYCZEŃ–MARZEC 1981

Od początku roku w kraju jest niespokojnie. Punkt zapalny stanowi kwestia wolnych sobót, wybuchają także protesty chłopskie i strajki studenckie. Rolnicy domagają się przede wszystkim rejestracji związku zrzeszającego rolników indywidualnych (czego 10 lutego odmawia Sąd Najwyższy), studenci – legalizacji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. 11 lutego premierem zostaje gen. Wojciech Jaruzelski. Jego nominacja przez dużą część społeczeństwa zostaje przyjęta przychylnie. 19 lutego, po trzytygodniowym strajku na uczelniach w Łodzi i Poznaniu, udaje się studentom skłonić władze do podpisania porozumienia gwarantującego rejestrację NZS – pierwszej niezależnej organizacji studenckiej w krajach Bloku Wschodniego. Tymczasem naciskane przez Kreml władze PRL coraz intensywniej przygotowują się do pacyfikacji „Solidarności” własnymi siłami. W marcu 1981 rozgrywa się „kryzys bydgoski” – który z lokalnego konfliktu przekształca się w wydarzenie o przełomowym znaczeniu dla dalszych losów „Solidarności”. 19 marca 1981, podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, obecni na niej przedstawiciele lokalnej „Solidarności” zamierzają poruszyć sprawę związku rolników, jednak nie zostają dopuszczeni do głosu, a obrady zostają przerwane. Dochodzi do interwencji milicji i pobicia trzech delegatów Związku, w tym przewodniczącego bydgoskiej „Solidarności” Jana Rulewskiego. Związek reaguje ogłoszeniem na 27 marca powszechnego strajku ostrzegawczego (który staje się okazją do mobilizacji całego społeczeństwa), przygotowując się jednocześnie – na wypadek fiaska rozmów z rządem – do bezterminowego strajku generalnego od 31 marca. Ostatecznie dochodzi do zawarcia kompromisu i odwołania strajku, przy narastającym poczuciu zmarnowania ogromnej społecznej determinacji.

Jacek Kuroń, doradca Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”:

Do końca listopada [1980] narastał kryzys o wolne soboty. Początek temu dał paranoiczny zapis w Porozumieniu Jastrzębskim, gdzie strona rządowa zgodziła się na wszystkie soboty wolne. [...] 10 stycznia część załóg nie stawiała się do pracy. Władze pogroziły represjami i powiedziały, że jakby powtórzyło się to jeszcze raz 17 stycznia, to będą już kary. Na wieść o tym stanęło na cztery godziny, za zgodą władz regionu, MZK w Warszawie.

Styczeń 1981

[Jacek Kuroń, *Gwiezdny czas. „Wiary i winy” dalszy ciąg*, Londyn 1991]

Tadeusz Jakubek, działacz „Solidarności Chłopskiej”:

Nasza „Solidarność” uformowała się nieco później, niż to zrobili robotnicy. Inna była specyfi-

ka zrzeszania się i działania w zakładach pracy, gdzie w jednym miejscu znajdowało się wiele osób, a inaczej wyglądało to na wsi, gdzie gospodarstwo od gospodarstwa jest oddalone. Ponadto wieś była rozbita i skłócona. Inne interesy mieli robotnicy rolni zatrudnieni w PGR-ach, a inne ci w Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych, a zupełnie inne rolnicy indywidualni. Po okresie powojennej kolektywizacji chłopci byli bardzo nieufni i wszystko, co nowe, przyjmowali z daleko idącą ostrożnością.

[*Gotowość. Kryzys bydgoski 1981*, Warszawa 2016]

Jan Beszta-Borowski, działacz rolniczy z Białostoczczyzny, uczestnik strajku chłopskiego w Ustrzykach Dolnych:

Godzina dziewiętnasta. Poruszenie i głośny łomot i krzyk w holu – kilku nieznanym cywilów weszło nagle do budynku i odsuwając na bok



Plakat „Solidarności” Regionu Mazowsze z 1981 roku informujący o styczniowych terminach strajków ostrzegawczych. Ze zbiorów Ośrodka KARTA

naszą straż wpadło do pomieszczenia z telefonem i teleksem, obezwładnili naszą obsługę oraz powyrywali przewody telefonu i teleksu. Za nimi w oka mgnieniu weszło kilkadziesiąt zomowców z pałami, tarczami, w hełmach z osłonami i maskami przeciwgazowymi. [...]

Oświadczają, że musimy natychmiast opuścić salę, gdyż panuje tu epidemia czerwonki. W odpowiedzi okazujemy leki, pielęgniarkę, która stale jest wśród nas i teraz stwierdza, że nie ma tu żadnej epidemii ani choroby. Wówczas prokurator oświadcza, że bezprawnie okupujemy Urząd i daje nam dziesięć minut na opuszczenie sali. W przeciwnym wypadku użyta będzie siła i sala zagazowana. [...]

Nie ma innego wyjścia. Przygotowujemy się do opuszczenia budynku. Śpiewamy *Rotę* i hymn – *Jeszcze Polska nie zginęła...* U wielu znowu łzy w oczach. Widzę przez uchylone drzwi zomowca ocierającego łzy z oczu.

Ustrzyki Dolne, 12 stycznia 1981

[Jan Beszta-Borowski, *Pół wieku zarazy 1940–2000.*

Moje zapiski faktów i refleksji, Komorów 2002]

Zbigniew Bartel, działacz Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Bydgoszczy:

W tamtym czasie na zebraniach partyjnych mówiło się, że w ten sposób „Solidarność” chce zdobyć władzę, przejmując zarządzanie żywnością. No a do tego nie można było dopuścić...

[*Gotowość. Kryzys bydgoski 1981...*]

Stanisław Kania, I Sekretarz KC PZPR, na posiedzeniu Biura Politycznego:

Może rzeczywiście zbliża się katastrofa, usilnie podprowadzanie do tego, aby przyszedł z pomocą sąsiad. Stworzenie u nas takiej sytuacji, od której zacznie się wielki zwrot w świecie. [...]

Co do „Solidarności Wiejskiej” – nie wierzę, aby odłożenie sprawy coś zmieniło. Proces rozwoju organizacji na wsi trwa, jest rzeczywistością, jeśli go nie zahamujemy, nie możemy liczyć, że strona przeciwna na nasz apel ustąpi. Odłożenie rejestracji raz jeszcze nikogo nie uspokoi. W sprawę „Solidarności Wiejskiej” zaangażował się Kościół, który chce mieć wła-

sną partię polityczną nie tylko w mieście, ale i na wsi.

Warszawa, 7 lutego 1981

[*Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980–1981*, Londyn 1992]

Gen. Wojciech Jaruzelski, nowo powołany premier, w przemówieniu sejmowym:

Zwracam się w tym momencie o trzy pracowite miesiące – 90 spokojnych dni. Czas ten pragniemy wykorzystać dla porządkowania najbardziej elementarnych spraw naszej gospodarki, dla dokonania remanentu „pozytywów” i „negatywów” [...]. Czas ten pragniemy uczynić okresem szerokiego dialogu społecznego.

Warszawa, 12 lutego 1981

[*Władza wobec „Solidarności”*.

Sierpień 1980–grudzień 1981.

Podstawowe dokumenty, Wrocław 1993]

Jacek Kuroń:

Nie spodziewałem się, że legendarny w Polsce kult munduru jest aż tak duży. Nie wierzyłem, że sam fakt, iż ktoś jest generałem, polskim generałem – jak mówiono – przyniesie tyle nadziei w „Solidarności”, w zakładach pracy, wyższych uczelniach, szkołach, instytucjach, urzędach – po prostu wszędzie. [...]

Jeździłem wówczas po zakładach: wielki entuzjazm. Wierszyki pisano o polskim generale, komisje zakładowe podejmowały uchwały, że wierzą w honor oficera. Potrzeba władzy, która wreszcie zacznie po ludzku rządzić tym krajem, była ogromna, bo „Solidarność” przecież ani rządzić, ani uzupełniać władzy nie chciała.

Luty 1981

[Jacek Kuroń, *Gwiazdny czas...*]

Płk Ryszard Kukliński, szef Oddziału Planowania Strategiczno-Obronno-Sztabu Generalnego WP, o przebiegu wojennej gry sztabowej testującej projekty wprowadzania stanu wojennego:

W toku dyskusji uczestnicy gry doszli wprawdzie do zgodnej oceny, iż wprowadzenie w ówczesnych warunkach stanu wojennego może być początkiem największego w historii Polski narodowego dramatu, ale ostateczne wnioski, jakie z tej oceny zostały wyciągnięte, ten dramat jedynie przybliżały.

A więc przede wszystkim odrzucona została ostatecznie myśl gen. broni Tadeusza Tuczapskiego, aby rząd wniósł pod obrady Sejmu PRL ustawy wyjątkowe stanu wojennego. Uczestnicy gry doszli do wniosku, iż zlikwidowanie wielomilionowej „Solidarności” będzie możliwe tylko przy pełnym jej zaskoczeniu. Ustalono, że najkorzystniejszym momentem do rozpoczęcia akcji będzie dzień wolny od pracy i nauki, najlepiej noc z soboty na niedzielę.

Warszawa, 16 lutego 1981

[*Wojna z narodem widziana od środka*,

„Kultura”, Paryż, nr 4/1987]

Mieczysław Rakowski, wicepremier, w dzienniku:

W spadku po poprzednim rządzie otrzymaliśmy trwający od 21 stycznia strajk studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Jego organizatorem było Niezależne Zrzeszenie Studentów, organizacja powstała na fali, związana z ludźmi z KOR-u. Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza sformułowała listę czterdziestu postulatów [...]. 29 stycznia minister Janusz Górski rozpoczął rozmowy z MKP. [...] Po wielu dniach uciążliwych rozmów 12 lutego porozumienie było gotowe do podpisu. Ale problemem spornym stała się rejestracja NZS, którą załatwiano równolegle. Wniosek o nią NZS złożyło 22 stycznia. Projekt statutu został zaopiniowany przez zainteresowane ministerstwa. [...] 14 lutego minister poinformował MKP o zgłoszonych opiniach, faktycznie postulatami. MKP uznała się za niekompetentną w kwestii dyskusji nad statutem (MKP uzależniała podpisanie porozumienia od rejestracji NZS). [...] W tej sytuacji [...] uznaliśmy (tj. premier i ja), że powinienem przyjąć delegację MKP i podjąć próbę wytłumaczenia jej, że NZS nie zostanie zarejestrowane, jeśli nie wpisze do swojego statutu formuły uznającej zasady ustrojowe przyjęte w konstytucji. [...] Początkowo studenci w ogóle nie chcieli słyszeć o wpisaniu do statutu nowej formuły. W tej sytuacji powiedziałem, że jeśli nie uwzględnią naszego stanowiska, NZS zostanie uznany za organizację nielegalną. W końcu, po ożywionej wymianie zdań, studenci pogodzili się z naszymi żądaniem i popędzili do pozostałej części delegacji, która czekała w gmachu ministerstwa na rezultaty spotkania. Następnego dnia minister Górski pojechał do Łodzi i złożył

podpis pod porozumieniem. Strajk łódzkich i wspomagających ich poznańskich studentów został zakończony. Kolejne ognisko niepokoju zostało wygaszone.

Warszawa, luty 1981

[Mieczysław Rakowski, *Dzienniki polityczne 1979–1981*, Warszawa 2004]

Jadwiga Kowalczyk, uczestniczka strajku studenckiego na Uniwersytecie Łódzkim:

Godzina 17.30 – minister Górski podpisuje porozumienie i wymienia egzemplarz z Wojtkiem Walczakiem. Wszyscy powstajemy z krzeseł, ale to nie wystarcza, więc zrzucamy buty i wchodzimy na krzesła – bijemy brawo, wznosimy radosne okrzyki. I nagle cisza, a po chwili ktoś intonuje *Jeszcze Polska...*, więc schodzimy z krzeseł i głośno, równo, z harmonią głosów męskich i żeńskich śpiewamy hymn narodowy. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie słyszałam hymnu śpiewanego z takiej potrzeby, z takiego zaangażowania wewnętrznego.

Łódź, 19 lutego 1981

[Roman Kowalczyk, *Studenci '81*, Warszawa 2000]

Jan Rulewski, członek prezydium Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”:

To nie była żadna prowokacja, niespodziewana gra sił, w wyniku której ktoś tam oberwał. [...] Przez trzy tygodnie przygotowywano zgrupowanie sił milicji z czterech województw. Esbekom, którzy mieli nas aresztować czy bić, rozdano znaki rozpoznawcze w postaci znaczka honorowego dawcy krwi. [...] Potem na zdjęciach można było zaobserwować te znaczki, dzięki którym mogli się rozpoznawać, żeby nie pobić się wzajemnie, bo to byli ludzie z kilku województw.

Bydgoszcz, 19 marca 1981

[Janina Jankowska, *Portrety niedokończone. Rozmowy z twórcami „Solidarności” 1980–1981*, Warszawa 2004]

Stefan Pastuszewski, dziennikarz, działacz bydgoskiej „Solidarności”:

Jeszcze Polska nie zginęła... ginie w tupocie butów i szeleście szarpanego odzienia. Bolą rozrywane ręce. Szcepieni łańcuchem, powoli wypychani i wyciągani jesteśmy w kierunku bocznego wyj-

Bydgoszcz, po 19 marca 1981. Ludzie zebrani przed budynkiem Komitetu Wojewódzkiego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, w którym odbywa się strajk okupacyjny rolników, żądających rejestracji swojego związku zawodowego. Fot. Lech Ścibor-Ryński / Independent Polish Agency (IPA) / Ośrodek KARTA



ścia po prawej stronie... Trzy razy powtarzamy refren, bo nie stać nas na odśpiewanie kolejnej zwrotki. Powtórzylibyśmy go i czwarty raz, gdyby nie Michał Bartoszcze, który zaintonował *Rotę*. Słysząc przejmujący krzyk Rulewskiego.

Bydgoszcz, 19 marca 1981

[Stefan Pastuszewski, *Spoglądając na zegarek...*, „Wolne Związki. Pismo NSZZ Solidarność”, Bydgoszcz, nr 4/1981]

Z ulotki partyjnej zatytułowanej *Prawda o zajściach na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej*:

Większość osób dobrowolnie opuściła budynek. Natomiast ci, którzy stawiali opór – zostali wyprowadzeni. W czasie przywracania porządku nikt nie doznał żadnych obrażeń. Jeśli nie liczyć tego, że Jan Rulewski dokonał samookaleczenia. Sięgnął on po jakże niską i niegodną człowieka broń – prowokację. Bo jakże inaczej można ocenić samookaleczenie się. MO posiada w tym względzie niepodważalne dowody.

Warszawa, 20 marca 1981

[Krzysztof Czabański, *Bydgoszcz – Marzec '81. Dokumenty, komentarze, relacje*, Wydawnictwo „Most”, Warszawa 1987]

Z oświadczenia KKP „Solidarność”:

Prezydium KKP „Solidarność” z powodu ataku na Związek, jego władze i obrazę godności Związku odwołuje wszelkie rozmowy z władzami i ogłasza dla wszystkich instancji związkowych, wszystkich członków „Solidarności” stan gotowości strajkowej. [...] Akcja, jaka miała miejsce 19 marca 1981 w Bydgoszczy, jest oczywiście prowokacją, wymierzoną w rząd premiera Jaruzelskiego.

Gdańsk, 20 marca 1981

[Krzysztof Czabański, *Bydgoszcz – Marzec '81...*]

Bronisław Geremek, doradca KKP NSZZ „Solidarność”:

Rozmowy [z rządem] w Warszawie [...] do niczego nie doprowadzają. W tej sytuacji odbywa się dramatyczne posiedzenie KKP. To jeden z kluczowych momentów w historii „Solidarności”. Zderzyły się tam dwie postawy, dwa sposoby myślenia. Mniejszościowy, mówiący, że kompromis jest formą uzyskiwania prawa do istnienia, poszerzenia pola swobód – z poczuciem zmę-



Plakat „Solidarności” z informacją o zajściach w budynku Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Ze zbiorów Ośrodka KARTA

czenia większości, że władzy wszystko trzeba wyrwać, no, a skoro ona taka jest, to trzeba wreszcie przycisnąć ją do muru, żeby zrozumiała, iż naród jest po stronie „Solidarności”.

Bydgoszcz, 23 marca 1981

[Krzysztof Czabański, *Bydgoszcz – Marzec '81...*]

Bogdan Lis, członek KKP NSZZ „Solidarność”:

Uważałem, że jeśli my natychmiast ogłosimy strajk [...], w sejmie zapadną właściwe decyzje, które w przyszłości pozwolą nam na prowadzenie bardziej spokojnej działalności, jakiej do tej pory prowadzić nie mogliśmy. [...]

Myśmy przegłosowali takie właśnie postępowanie. Tu nastąpiło weto Wałęsy, który z trzaskiem, bo rzucając mandatem, wyszedł z sali obrad. Wtedy pojawiła się groźba poważnego, wewnętrznego konfliktu, nawet ewentualnego rozbicia Związku.

Bydgoszcz, 23 marca 1981

[Janina Jankowska, *Portrety niedokończone...*]

Jan Olszewski, doradca KKP NSZZ

„Solidarność”:

I to była zasadnicza oś konfliktu. Czy w tym momencie doprowadzamy do strajku powszechnego, czy też redukujemy żądania i próbujemy zawrzeć porozumienie, nie wchodząc w strajk. Strajk był pewnym zagrożeniem i pewnym atutem w naszych rękach, ale jeśli on by nastąpił, to poszlibyśmy na rękę tej stronie, która wyraźnie przygotowywała w Polsce interwencję zewnętrzną. Niesłuchanie ryzykowne było wchodzenie od razu w strajk generalny, stąd powstał pomysł strajku ostrzegawczego.

Bydgoszcz, 23 marca 1981

[*Gotowość. Kryzys bydgoski 1981*, Warszawa 2016]

Janusz Onyszkiewicz, członek Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze:

Przygotowania do strajku w czasie konfliktu bydgoskiego naprawdę objęły wszystkich: zarówno partyjnych, jak i bezpartyjnych. Strajk ostrzegawczy był chyba najwspanialszą manifestacją jedności, jaką znają najnowsze dzieje Polski.

Warszawa, 27 marca 1981

[Janina Jankowska, *Portrety niedokończone...*]

Roman Skawiński, pracownik naukowy Akademii Medycznej we Wrocławiu, w dzienniku:

Napięcie jest ogromne. Liczymy się z możliwością interwencji wojska polskiego lub inwazji ZSRR. Jednocześnie jesteśmy zdecydowani kroczyć naszą drogą. „Solidarność” opracowała zasady zachowania się na wypadek interwencji zbrojnej.

Wrocław, 27 marca 1981

[*Gotowość. Kryzys bydgoski 1981...*]

Andrzej Celiński:

Spotkaliśmy się u mnie w domu – na Stegnach. Wtedy nie mieszkalem w domu, wobec tego

dom nie był na podglądzie. Tam omówiliśmy podstawowe założenia tych ostatecznych negocjacji. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie złamać demokrację związkową. Z jednej strony [Henryk] Wujec [z Regionu Mazowsze], z drugiej grupa kierowana przez Bogdana Lisa w Gdańsku – oni czekali na strajk generalny. Otrzymywałem telexy, że w takim a takim zakładzie zebraliśmy butle tlenowe...

Więc wiedzieliśmy, że musimy złamać demokrację, że podejmiemy decyzję w taki sposób, aby Komisja Krajowa musiała ją zaakceptować.

Warszawa, 29/30 marca 1981

[*Gotowość. Kryzys bydgoski 1981...*]

Jan E. Szewc, informatyk,

PEZETEL Warszawa:

Przed URM-em w Warszawie tysiące ludzi. Czy będą strajkować? Delegacja „Solidarności” wychodzi z gmachu trzymając ręce do góry z palcami ułożonymi w znak „V”. Udało się. Podpisali. Nie będzie strajku. Bliżej stojący podnoszą samochód z Wałęsą, ci co dalej, padają sobie w ramiona. Wiwaty i łzy. Wielka narodowa ulga.

Warszawa, 30 marca 1981

[Jan E. Szewc, *Mój wiek XX. „Solidarność”*

(lata 1979–1984), Warszawa 1999]

Grzegorz Palka, wiceprzewodniczący Regionu Ziemia Łódzka NSZZ „Solidarność”:

Nastrój rozgoryczenia był olbrzymi. To sobie trzeba wyobrazić tę całą pędzącą maszynę, żeby coś nareszcie wydusić od władzy, coś takiego, co by dawało nam atuty w przetrwaniu. Trzeba sobie wyobrazić zawziętość ludzi, ich ogromną pracę, niektórzy z zaciśniętymi zębami, prawie płacząc ze strachu, ale robili. I potem rozwianie tego w zasadzie niczym, jakby zlekceważenie ich wysiłku.

Łódź, 30 marca 1981

[Janina Jankowska, *Portrety niedokończone...*]

12-odcinkowy cykl przygotowany przez Ośrodek KARTA w 40. rocznicę powstania „Solidarności”. Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów”.

Ośrodek **Karta**

WIKTORIA 1920

W połowie listopada 2020 zakończyliśmy prezentację 31-odcinkowego cyklu poświęconego historii polskiego zwycięstwa nad bolszewikami. Ciąg historycznych publikacji medialnych „Wiktoria 1920” realizowany był we współpracy z Biurem Programu Niepodległa od połowy kwietnia. Za pośrednictwem mediów partnerskich przedstawiliśmy kolejne tygodnie 1920 roku, przełomowego dla losu Polski i Europy.

Serdeczne podziękowania dla
Redakcji kwartalnika

„Informator Polski”

a w szczególności dla

Pana Redaktora
Romana Śmigielskiego

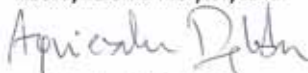
za uczestnictwo w akcji
„Wiktoria 1920”

Prezes Ośrodka KARTA



Zbigniew Gluza

Koordynatorka merytoryczna



Agnieszka Dębska

Koordynatorka akcji



Izabela Kotapska


„Wiktoria 1920” – 31-odcinkowy, cotygodniowy cykl, ukazujący się w partnerskich mediach od 17 kwietnia do 13 listopada 2020. Cykl przygotowany przez Ośrodek KARTA na zlecenie Biura Programu NIEPODLEGŁA, w ramach obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości i odbudowy polskiej państwowości.

niepodległa

Międzykulturowe
Kultury
i Dialogiczne
Media

Karta

PARTNERZY:

 RZECZPOSPOLITA

POLITYKA

d DZIEJE.PL
POLSKA
HISTORICZNA

**HIST
MAG**

ZE STUTTHOFU DO KLINTHOLM HAVN

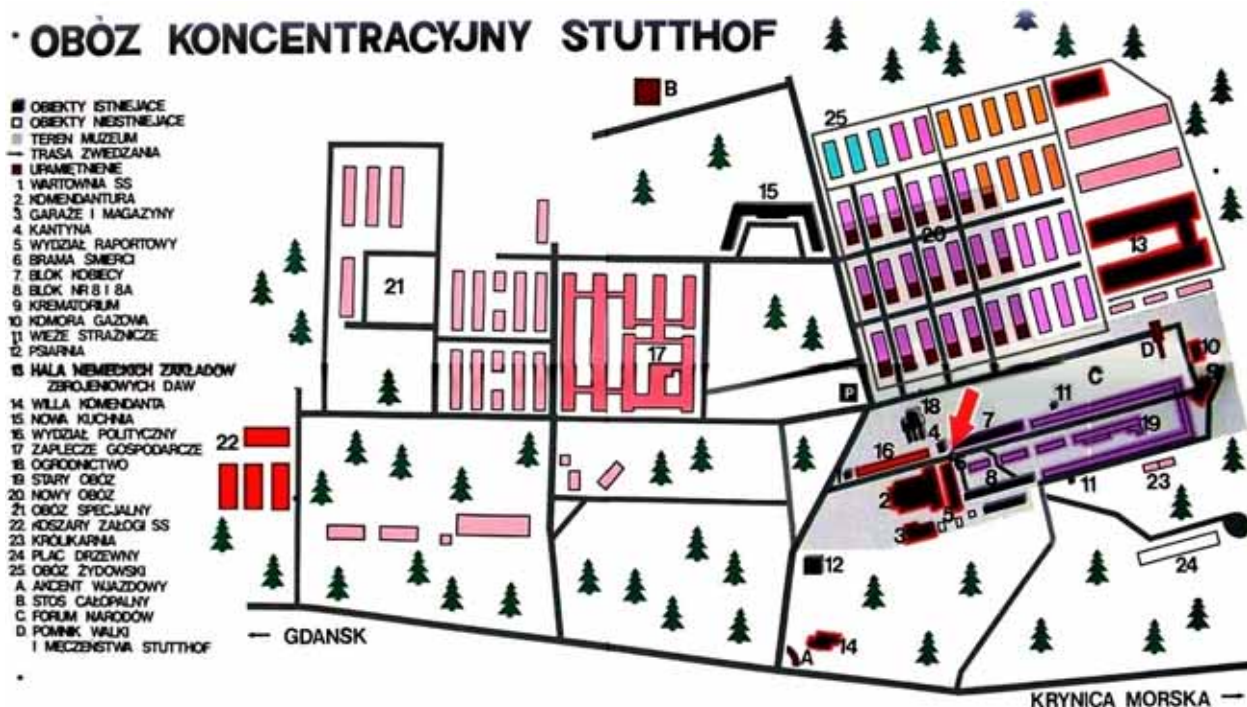
*wspomnienia polskiego marynarza, więźnia obozu koncentracyjnego Stutthof
Franciszka Wysockiego
(część 1)*


... Spotkałem w izbie chorych w Stutthofie znajomego więźnia. Pracowaliśmy razem przed ewakuacją obozu. Był to komunista – Niemiec. Pochodził z Wuppertalu nazywał się Bulwur. Był to człowiek bardzo koleżeński i uczciwy, bardzo go lubiłem. Leżał w izbie chorych był bardzo wychudzony, był po tyfusie plamistym. Objęliśmy się przy powitaniu. Przytulił się do mnie, był całkiem załamany, płakał i żalił się, że zbliża się Armia Czerwona, zbliża się wolność i upadek faszyzmu. On czekał na tę chwilę tyle lat, a będzie musiał umrzeć. Pocieszyłem go, że postaram się o końskie sadło i to go postawi na nogi. Zabiliśmy tłustego konia, wytopiłem sadło i zaniósłem mu pełną menażkę. Powiedziałem mu, żeby zawsze dodawał tłuszcz do zupy, to mu przybędzie sił. Bardzo się ucieszył i od razu poczuł się

lepiej. Słuchaliśmy razem przelatujących pocisków artylerii ciężkiej i odgłosów wojny od strony Elbląga. Słuchał i płakał z radości. Nie wiem co się z nim stało. Jednego dnia zjawił się w obozie Gauleiter Forster ze swoim sztabem. Wiedzieliśmy, że coś postanowiono, na pewno ewakuację obozu.

Z początkiem kwietnia 1945 r. przyszedł rozkaz ażeby przygotować obóz do ewakuacji. Radziłem wszystkim moim kolegom, ażeby rozważyli: pozostać w obozie czy ewakuować się. Kilku pozostało. Dwóch z nich wróciło do kraju po dziesięciu latach z Workuty, mieszkają w Gdyni.

Zebrano nas i wymaszerowaliśmy do kolejki, kolejką pojechaliśmy nad Wisłę, tam czekaliśmy w lesie. Przywieziono nam obiad. Otrzymaliśmy menażkę zupy i kostkę margaryny. Obozu żydowskiego nie



 <p><i>P. Mierzejewski</i> własnoręczny podpis / Uwolniony / e przez: Dąbski Ruch Oporu MB / d. 5.5.1945r.</p>	<p>1118.17.02-2032/1952 18.104</p> <p>Nr. leg. 113</p> <p>Nazwisko <i>Mierzejewski</i></p> <p>Imię <i>Siber</i></p> <p>Data ur. <i>22/6 - 1914</i></p> <p>Miejsce ur. <i>Łódź</i></p> <p>Aresztowany / a dnia <i>24/4 - 1944</i></p> <p>Przez <i>Wielajka</i></p> <p>Przybył / a do obozu koncentracyjnego Stutthof d. <i>3/10 - 1944</i></p> <p>Nr. więzienia w. obozie konc. <i>101937</i></p> <p>Höje Möen, d. <i>1 sierpnia 1945.</i></p> <p><i>Hotel Dynamura</i> <i>Bielawski</i></p>
	<p><i>Pionierska</i> Maribo Amt Journal Nr. <i>95/6 1952</i></p> <p>X-36-521</p>

ewakuowano razem z nami. Wieczorem widzieliśmy wielką łunę pożaru od strony obozu. Było pogłoska, że podpalono obóz żydowski.

Nad ranem podплыły łodzie desantowe marynar-ki wojennej. Załadowano nas na te łodzie i zostaliśmy przewiezieni na Hel. Na Helu prowadzono nas w las. Głęboko w lesie zarządzono odpoczynek. Dokuczało nam pragnienie. Pożyczyłem tam od Niemców, którzy mieszkali w lesie, łopatę. Kopaliśmy dół w celu dokopania się do wody pitnej. Dokopaliśmy się do wody podskórnej. Wodę do butelek wlewaliśmy przez szmatę, dlatego że była bardzo brudna. Po pewnym czasie zarządzono wymarsz z lasu do portu na Helu. Uszliśmy paręset metrów i zatrzymano nas. Kilku SS-manów zabrało parę więźniów i wrócili na to miejsce, gdzie wykopaliśmy dół. Słyszeliśmy serie z automatów. Wszystkich tych, co nie mogli iść dalej wymordowano i na pewno wrzucono ich do tego dołu, który my wykopaliśmy dla otrzymania wody. SS-mani wrócili, ale czy ci więźniowie wrócili, co z nimi poszli, tego nie wiem, dlatego, że to działo się na końcu kolumny. Doszliśmy do portu wojennego na Helu. Podczas drogi często przelatwały nad Helem samoloty radzieckie. Widzieliśmy wtenczas jacy SS-mani są odważni, uciekali do lasu i chowali się za drzewami. Do zabijania ludzi to byli odważni, kiedy więzień nie miał prawa się bronić.

W porcie wojennym stały barki rzeczne i holowniki. Kazano nam wchodzić na barki, ale w tym czasie nadleciały samoloty radzieckie i bombardowały stojące w porcie okręty wojenne. Bomby spadały także obok szeregów więźniów. Dużo zostało zabi-

tych i rannych. Po nalocie goniono nas na barki. Wszyscy wchodziłi na pod pokład barek myśląc, że to bezpiecznie. Ja z kilkoma kolegami zostałem na pokładzie. Wytłumaczyłem im, że na dole jest przepełnienie, a nas jest dwóch marynarzy i możemy się na pokładzie przydać. Pozwolili nam pozostać na pokładzie. Kazałem im się przywiązać lekko do uchwytów różnego rodzaju, tak żeby mogli się położyć i wypoczywać.

Wyplłynęliśmy z portu holowani przez holownik, kierując się na zachód. Płynęliśmy kilka dni, pijąc słoną wodę morską. Nocą widzieliśmy wybuchy bomb i pocisków artyleryjskich. Jednej nocy odczu-liśmy uderzenie dna barki o dno morskie, weszliśmy na mieliznę. Rano ujrzeliśmy brzegi wyspy Rugii. Przyplłynął okręt niemieckiej marynarki wojennej. Marynarze niemieccy przewieźli nas na gumowych pontonach na inną barkę, którą ten okręt przyholo-wał. Marynarze byli bardzo pomocni naszym chorym i starszym więźniom. Na bardzo ciasnym pokładzie barki stłoczyli się wszyscy. Nie mogliśmy zejść pod pokład, dlatego że tam leżały pociski artyleryjskie. Zawieziono nas do Stralsundu, tam czekała na nas większa barka, na którą nas załadowano. Barka miała dwie ładownie, zmieścili się wszyscy, nie było tłoku. Podczas postoju barki marynarze niemieccy ugoto-wali kaszy zbożowej i wody. Na zapas dali nam wody przegotowanej.

Ja wyszedłem na ląd z kolegą Włodzimierzem Bielawskim (obecnie profesor w Akademii Medycznej w Gdańsku). Na lądzie było widać, że Niemcy już przestali wierzyć w zwycięstwo. Kupiłem pusz-

kę konserw od żołnierza niemieckiego, za zegarek. W jednym sklepie dali nam skrzynkę ryb wędzonych.

Ja spotkałem tam podoficera Marynarki Wojennej Polskiej, który pracował w piekarni. Powiedział, że szefowa jest sama, a on otworzy nam w nocy okno i możemy sobie wziąć tyle chleba, ile chcemy. Ale SS-man nas nie puścił, dlatego że kilku więźniów uciekło. Do jednego strzelali i ciężko go ranili w brzuch. W drugim dniu postoju przyплыł holownik, który wziął nas na hol i wypłynęliśmy w morze. Z nami płynęły jeszcze trzy barki, ale następnego ranka nie widzieliśmy ich więcej, widocznie zostały zatopione. Na jednej barce była żółta flaga, to albo zaraza albo Żydzki.

Z rana w dniu 5 maja 1945 roku widać było łąd i dużo flag. Rozpoznałem, że to flagi duńskie. Weszliśmy do małego portu, który nazywał się Klintholm havn, była to wyspa Møn. Nie mogliśmy dobić do mola, dlatego że przy molo stał przycumowany niszczyciel niemiecki, więc dobiliśmy mu do burty. W tym dniu wojska niemieckie w Danii poddały się Anglikom, dlatego każdy dom był oflagowany. Na wszystkich masztach powiewała flaga duńska.

W porcie było spokojnie. Zobaczyliśmy przy wejściu do portu samochody ciężarowe, z których wysiedli cywile z bronią ręczną maszynową. Na piersiach mieli tabliczki, a na tabliczkach litery „M.B.” „Modstand Bevægelse”, po polsku „Ruch Oporu”.

Partyzanci zaczęli wolno otaczać port i wszystko, co się w porcie znajdowało.

W tym czasie marynarze z niszczyciela zapytywali naszych SS-manów, co to za ludzie znajdują się na tej barce. SS-mani mówili im, że to bandyci. Ja wyszedłem na pokład i prosiłem marynarzy, żeby nas bronili i że my jesteśmy więźniami obozu koncentracyjnego Stutthof, a potem, że ja jestem marynarzem z Polskiej Marynarki Wojennej. SS-mani mnie nie bili. Na pokład było zabronione wychodzić. Złękli się tchórze marynarzy. Marynarze przerzucali nam na barkę mundury i puszki konserw.

Duński ruch oporu, czyli partyzanci duńscy zbliżali się wolno do mola, przy którym stał przycumowany niszczyciel i nasza barka. Niszczyciel zrzucił cumy i wolno wyszedł w morze. My przycumowaliśmy barkę do mola. Komendant partyzantów wszedł na barkę i zarządził poddania się i złożenia broni. SS-mani grzecznie oddali broń i ustawili się w szeregu na molo. My przyglądaliśmy się. Komendant zapytał nas, czy jakieś życzenia mamy w sprawie SS-manów. Powiedziałem mu, że mamy. Po pierwsze mają wypakować plecaki i walizy – tam mają ubrania cywilne, a to nam się przyda, a poza tym, żeby nam wydał wskazane przez nas SS-mana. Zapytał po co? Powiedziałem mu, że powiesimy go z honorami na słupie na molo. Duńczyk się zląkł, popatrzył się na nas i wiedział, że my to zrobimy. Powiedział, że oni podlegają wojskom

Polstrede Møbler
Haandværksarbejde
er vor Specialitet

Nationaltidende

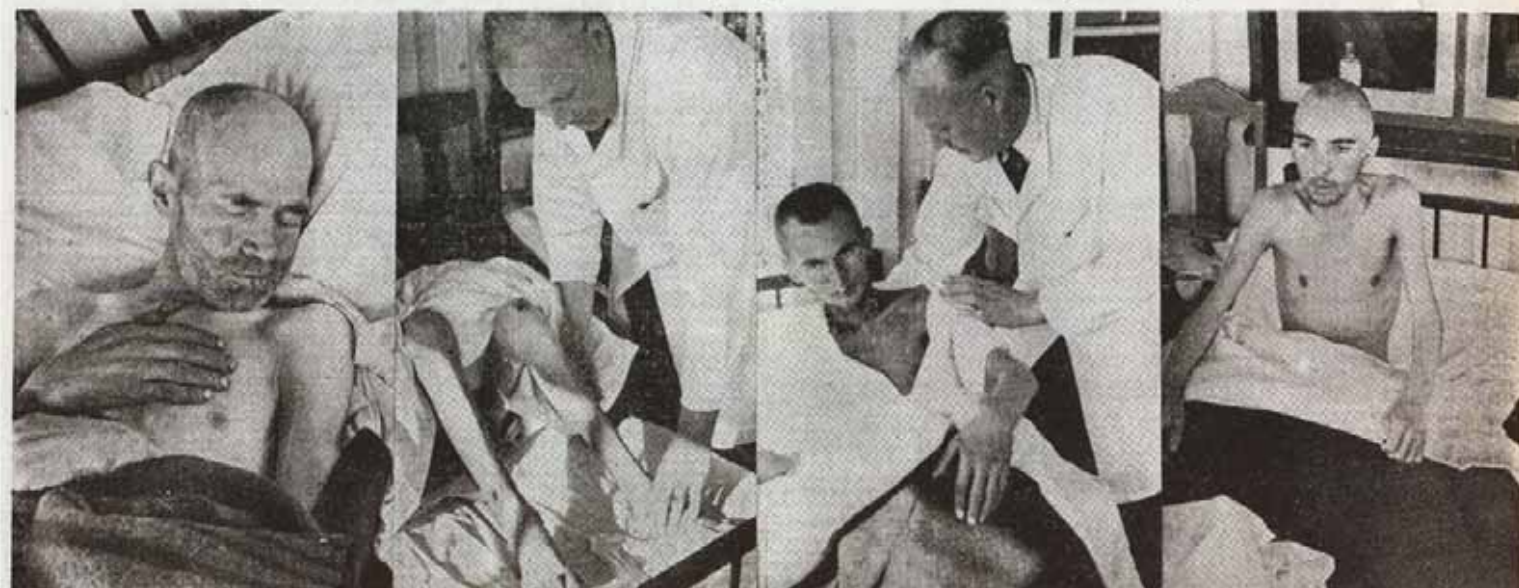
HOLM & LARSEN'S

Grundl. 1895 MØBELMAGASINER Grundl. 1926

Sct. Nikolajvej 8. C. 7155 - Nora 7129

Møn Paradiset efter Fangetransportens Helvede

Beretninger om Koncentrationslejre, fortalt af Fangerne paa Klintholm



Her er nogle af Fangerne fra Koncentrationslejren Stutthof, fotograferet paa Lazarettet paa Klintholm Badehotel. Yderst til venstre ligger en 52-aarig Lette i en Djs, som de danske Læger kæmper for at redde ham ud af. De mishandlede Ben, som Lægen undersøger, tilhører Manden paa det næste Billede tilhøjre, han er kun 23 Aar, er Lette og hedder Sprois Ojars. Oldingen yderst til højre er 20 Aar, Frankmand og hedder René Munier.

angielskim i on ma odstawić SS-manów na punkt zborny. Oddział szybko odmaszerował.

Na pokład barki wszedł młody Duńczyk. Przedstawił się, że jest dziennikarzem z miejscowej gazety. Mówił bardzo dobrze po niemiecku. Opowiedziałem mu kim jesteśmy i że prosimy o wodę do picia, żywność i pomoc lekarską. Obejrzał barkę, zobaczył trupy i chorych, bardzo głodnych ludzi w pasiakach. Wychodząc powiedział, że trudno mu uwierzyć w to co widział, że w ten sposób można się obchodzić z ludźmi. Przyrzekł, że wszystko co możliwe to postara się załatwić.

Partyzanci duńscy pilnowali na molo, ażeby nikt z naszych więźniów nie wy dostał się do portu, czy do wioski. Powiedziano nam, że kiedy przyjadą lekarze, to dwóch z nas będzie mogło pójść do portu po wodę pod strażą. Na barce byli chorzy na tyfus plamisty i Duńczycy bali się, ażeby choroba nie przeniosła się na ląd.

Jeden z lekarzy przyjechał samochodem. Pokazałem mu wnętrze barki, poinformowałem go o stanie zdrowotnym więźniów. Właściwie byłych więźniów, dlatego że my jesteśmy już wolnymi ludźmi. Zapowiedziałem wszystkim, że chwilowo nie można wychodzić do wioski. Bałem się, że będą starali się przedostać na ląd. Była to 360-osobowa grupa ludzi bardzo głodnych, gotowych na wszystko. Lekarz nazywał się dr Bendt Mortensen, wyznaczył mnie tak zwanym oficerem łącznikowym, dlatego że mówiłem po niemiecku. Ja i kolega Szatkowski poszliśmy pod strażą partyzantów po wodę do wioski. Tam u jednego kupca otrzymaliśmy wannę. Napełniliśmy wannę wodą słodką i zanieśliśmy z dużym wysiłkiem na barkę. Wróciliśmy z powrotem do tego kupca. W międzyczasie zaczęły przyjeżdżać na rowerach panie z miasta, które nazywało się Stege. Odległość do portu wynosiła 15 km. Przyjechała także pani Mortensen, żona tego lekarza, który pierwszy odwiedził barkę. Pani ta była przewodniczącą duńskiego Czerwonego Krzyża na wyspie Møn. Zostały zorganizowane na wyspie różne komitety. Został powiadomiony Czerwony Krzyż w Kopenhadze. Panie zajęły się gotowaniem zupy, wykupiły chleb w piekarniach na wyspie i poleciły piec więcej chleba. Przyniosły cukierki, papierosy i kruche ciasteczka.

Prosiłem, ażeby nie podawać na barkę nic bez porozumienia z nami dwoma. Powiedziałem, że zupy jest za mało, musi być tej zupy tyle, że wystarczy dla każdego byłego więźnia po 1 litrze. Ta zupa, która jest to w termosach nie wystygnie. Papierosy muszą być dla wszystkich po pół papierosa. Chleb nie może być gorący. Jeden chleb na cztery porcje Panie dzieliły szybko. Przywieziono więcej chleba, a papierosy pocięliśmy żyłką na dwie części.

W tym czasie redakcje dzienników, a było ich na wyspie cztery, wydrukowały wydanie nadzwyczajne o naszym przybyciu na wyspę. Poszliśmy z kolegą Szatkowskim na barkę. Zarządziłem, ażeby każdy usiadł na swoim miejscu i postawił przed sobą menażkę. Partyzanci przynieśli na barkę żywność. Panie zeszły do wewnątrz barki, pomimo mego oporu, na własną odpowiedzialność. Opierałem się temu, żeby nie schodzić pod pokład barki, dlatego że tam były wszy, a nasi umierali w drodze i leżeli chorzy na tyfus plamisty, a chorobą tą można się zarazić tylko przez ukąszenie wszy. Nie mówiłem tego nikomu tylko lekarzowi duńskiemu, ale oni nie mieli pojęcia o tyfusie i o wszach. Zgodzili się, żeby dwie panie weszły pod pokład barki. Wewnątrz barki panował okropny zaduch! Ja szedłem pierwszy, a za mną Panie. Każdemu wlały zupy do menażki czy puszki, położyły chleb, po trzy cukierki i połówkę papierosa. Panie płakały i byli więźniowie płakali, ale wszyscy byli zadowoleni na barce, dlatego że są wolni i nie głodni! Panie były zadowolone i dumne ze swojej pracy. Prosiłem, ażeby nie jedli świeżego chleba zbyt szybko. Niestety niektórzy jedli bardzo szybko dlatego, że byli bardzo głodni.

Lekarze mieli później zajęcie. Przyjechał drugi lekarz dr Fenger. Lekarze badali wszystkich chorych i zaprowadzali kartoteki. Pomagał im kolega Szatkowski, który był w Stutthofie sanitariuszem. Przywieziono trumny i zabrano zmarłych. Ciężko chorych wywożono do szpitala w Stege, do leżącego na innej wyspie Vordingborga i do Kopenhagi.

Pani Mortensen zemdląła podczas tych różnych dla niej zajęć. Powiedziała mi później, że nie jadła przez cały dzień, dlatego że zapomniała o jedzeniu.

Franciszek Wysocki
Gdynia

Dokończenie w następnym numerze



KAZIMIERZ LESKI – POLSKI JAMES BOND

„KOCHAŁY SIĘ W NIM WSZYSTKIE KOBIETY”

Polacy w czasie II wojny światowej mieli jeden z najlepiej działających wywiadów i kontrwywiadów. A co za tym idzie – skutecznych szpiegów. Pamięta się o Krystynie Skarbek, która obrosła legendą jako kochanka Iana Fleminga. Jej przygody miały stać się inspiracją serii o Bondzie. Tymczasem jeśli szukać w historii II wojny światowej polskiego agenta 007, zdecydowanie byłby nim Kazimierz Leski.

To on podawał się za niemieckich watażków, docierając do tajnych dokumentów, dzięki którym udało się opracować szlaki dla kurierów do neutralnej Hiszpanii. Potem korzystali z tych tras również polscy Żydzi. To on – między innymi jako generał Julius von Hallman – zwodził nazistów i pod ich nosem dokonywał odważnych czynów.

Teraz jego życie pokazują komiks i film. W Muzeum Powstania Warszawskiego odbyła się uroczysta premiera komiksu „Brad!” autorstwa Tobiasz Piątkowskiego i Michała Oleksickiego. W warszawskiej Kinotece odbyła się premiera fabularyzowanego filmu dokumentalnego „Kazimierz Leski” w reżyserii Małgorzaty Bramy.

Artur Zaborski: Bohaterem twojego filmu jest Kazimierz „Brad!” Leski, polski szpieg z okresu II wojny światowej. Dlaczego zdecydowałaś się przedstawić jego losy?

Małgorzata Brama: Bohatera wybrali mi powstańcy, bo film powstał na zlecenie Związku Powstańców Warszawskich. Wcześniej zrobiłam dla nich trylogię o Janie „Radosławie” Mazurkiewiczu, którego te filmy, mam nadzieję, spopularyzują. Następną osobą, która również domagała się przypomnienia, jest właśnie Leski.

To, co jest w nim fascynujące, to to, że to był taki polski James Bond, który w mundurze niemieckiego generała jeździł po okupowanej Europie. Działal w wywiadzie i kontrwywiadzie w okupowanej Polsce, w Niemczech i we Francji. Warto pamiętać, że w tym drugim państwie Polakom jako jedynym udało się założyć siatki szpiegowskie. Nikt inny, ani Anglicy, ani Francuzi, ani Rosjanie, nie podołał temu zadaniu.

W czym my byliśmy lepsi?

„My” to za dużo powiedziane. Sukces zawdzięczamy Leskiemu i jego najbliższemu współpracownikom, choćby Aleksandrowi „Wilskiemu” Stpiczynskiemu.

Największym atutem Leskiego było to, że miał niesamowitą zdolność uczenia się języków obcych. Przed wojną mieszkał, studiował i pracował w Holandii w międzynarodowym towarzystwie. Nauczył się tam holenderskiego, francuskiego i niemieckiego w różnych dialektach. Sama znajomość języka nie pozwoliłaby mu jednak funkcjonować na taką skalę. Do tego potrzebna była wiedza na temat tego, jak ma się zachować żołnierz pochodzący z danej części kraju.

Znana jest scena z „Bękartów wojny” Quentina Tarantino rozgrywająca się w knajpie. Amerykańscy żołnierze w mundurach niemieckich siedzą przy jednym stoliku, a przy drugim siedzi gestapowiec. Jeden z Amerykanów zamawia piwo ręką, ale wykonuje inny gest, niż zrobiłby to prawdziwy Niemiec. To ich demaskuje.

Skąd Leski brał wiedzę na temat tego, jak zachowują się żołnierze?

W zgłębianiu tego tematu bardzo pomocne były polskie kobiety lekkich obyczajów i te, które świadomie nawiązywały romans z wrogiem. One wyciągały informacje od niemieckich kochanków, jak i podpatrywały ich zachowania, co było naprawdę bardzo niebezpieczne. Groziły im za to sankcje i ze strony polskiej, i ze strony niemieckiej. Pokazał to Feliks

Falk w filmie „Joanna”, w którym tytułowa bohaterka, aby ocalić żydowskie dziecko, idzie do łóżka z wrogiem.

Joanna zapłaciła za to wysoką cenę.

Przez społeczeństwo polskie jakikolwiek kontakt seksualny z wrogiem był uznawany za kolaborację i zdradę narodową. Te kobiety pracowały dla tajnych służb i tylko nieliczni wiedzieli o roli, jaką naprawdę spełniają. Były nieocenionym źródłem informacji. Dysponowały wiedzą na temat tego, jak Niemcy przekazują rozkazy, jak się zachowują przy powitaniu, jakie są ich zwyczaje czy jak odnoszą się do siebie w hierarchii. Spostrzegawczość była bardzo ważna, trzeba było zwracać uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Kobiety były w tym dobre, dlatego to je wysyłano na przesłuchania. Ich rola była ogromna.

Sama, czytając o Leskim, uświadomiłam sobie, jak czujne oko trzeba było mieć. Z lektur dowiedziałam się, że każdy żołnierz inaczej maszeruje, czego wcześniej nie byłam świadoma, chociaż temat nie jest mi obcy. Dopiero teraz dotarło do mnie, że inaczej maszerują Polacy, inaczej Wehrmacht, a inaczej Anglicy. Wyobraźmy sobie, jakby to wyglądało dziś: do Polski przyjeżdża szpieg i wciela się w postać Jana Kowalskiego, urodzonego i wychowanego w Krakowie. Mówi, że musi wyjść na dwór i natychmiast zostaje zdekonspirowany, bo przecież krakusi mówią „pole”. Leski musiał to wszystko wiedzieć.

Czyli Leski i Stpicyński musieli tak dobrze udawać, żeby nie paść ofiarami niemieckich prostytutek?

W biografjach „Wilskiego” i Leskiego nie pojawiają się tego typu kobiety. Pierwszy miał w Polsce żonę. Drugi, stojąc na górze w hierarchii – podawał się za niemieckiego generała – nie musiał korzystać z romansu jako formy wyciągania informacji, bo one same do niego spływały. Na pewno miał romans po wyjściu z komunistycznego więzienia. Urodził mu się wtedy syn, jednak nie wziął ślubu z jego matką. Za to później spotkał kobietę o imieniu Maria, z którą się ożenił. W towarzystwie za jego żoną nie przepadano, bo zaważnęła nim zupełnie, mając przy tym monopol na jego legendę.

Ale przecież kobiety w nim kochały się podobno wszystkie, co nie wydaje się dziwne, bo Leski był bardzo przystojnym mężczyzną.

Ale niskim i drobnym, nie przypominał macho w dzisiejszym wydaniu. Powstańcy mówią, że był jak „Zelnik za młodu”. Mimo że niski, jednocześnie



Kazimierz Leski na przedwojennej fotografii (fot. materiały prasowe / NN / ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego)

był bardzo męski. Kiedy trafił do szpitala, faktycznie kochały się w nim wszystkie pielęgniarki. Wszystkie poza jedną. Oczywiście, Leski chodził właśnie za nią, co szokowało otoczenie, bo nie była ani ładna, ani zgrabna. Nic z tego jednak nie wyszło. Chyba miał pecha do kobiet.

Wróćmy do szpiegowskiej działalności Leskiego. Jak zdobywał fałszywe dokumenty?

Chyba każdy wie, że Polacy byli mistrzami w podrobieniu papierów. Ale żeby je podrobić, najpierw trzeba było mieć oryginał. I tutaj wykazali się warszawscy kieszonkowcy, tak zwani doliniarze, którzy w swoim „fachu” ustępowali tylko kieszonkowcom ze Lwowa. Kradli na zlecenie Armii Krajowej. Ich rola była nie do przecenienia.

Za kogo podawał się Leski?

Na początku za pracownika kolei, w taki sposób zjechał Niemcy i Francję. Pociągi były wtedy bardzo

Aleksander
Stpiczyński
Wbrew
wyrokowi
losu

Słowo wstępne
Kazimierz Leski

Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1988

załadowane, więc jako zwykły, cywilny pracownik musiał stać przez całą podróż. Doszedł do wniosku, że następnym razem zostanie wojskowym, bo wojskowi traktowani byli na innych prawach: mogli siedzieć, w wielu miejscach mieli pierwszeństwo. Został więc porucznikiem Wehrmachtu. Pojechał do Paryża, skąd wrócił z przeświadczeniem, że porucznik to za niski rangą stopień, bo jest często kontrolowany. Postanowił zostać generałem.

Nie był na to za młody?

Miał wtedy 32 lata, był zdecydowanie za młody. Jest wiele osób, które podważają to, że nosił mundur generała.

Jest tutaj wokół czego dyskutować? II wojna światowa to przecież dobrze udokumentowany okres historii.

Mnóstwo dokumentów zaginęło. A relacje świadków różnią się między sobą. Do tego trzeba pamiętać, że sam Leski świetnie potrafił manipulować swoją legendą. Nawet w książce ze wspomnieniami pisze tak, żeby wyrzucić odpowiedni wpływ na czytelnika,

ukierunkować go w stronę takiego myślenia, jakiego życzy sobie autor. Mimo to sama uważam, że jeździł w tym mundurze. Młodość rządzi się innymi prawami. On był młody, pewny siebie, znał świetnie języki, wiedział, że jest lepszy niż inni. To mogło popchnąć go do takiej decyzji.

Podobno udawanie kogoś wyższego stopniem było łatwiejsze, bo stojący niżej w hierarchii nie sprawdzali ich zbyt często.

Nie zgodzę się z tym, że było łatwiejsze. Przecież im wyższy stopień, tym mniej ludzi. Proporcje wyglądają tak, że jeśli mamy 50 generałów, to jednocześnie mamy 10 tysięcy poruczników. W 10 tysiącach łatwiej można się ukryć. Leski żył w czasach, kiedy nie było faksów ani Internetu. Nie można było łatwo zweryfikować czyjejs tożsamości. Wiele osób o utytułowanym żołnierzu mogło słyszeć, ale nie miało pojęcia, jak on wygląda.

Zdarzały się wpadki?

Oczywiście! Leski i jego kolega Aleksander „Wilski” Stpiczyński umówili się w Paryżu w niemieckiej Komendzie Placu. To był taki obowiązkowy punkt, do którego przyjeżdżający do stolicy Francji żołnierze niemieccy musieli się udać, żeby odmeldować się i wziąć kwitki podróży. A jechali z Polski, każdy osobno. Okazało się, że Niemcy wprowadzili nowe przepustki. „Wilski” takiej nie miał. Razem z nim w wagonie siedzieli esesmani, którzy też nie mieli nowych przepustek. Wszyscy razem zostali zatrzymani. Musieli czekać do rana, aż przyjedzie komendant, który rozstrzygnie sprawę. Esesmani cały czas trzymali się blisko Polaka, bo był najstarszy z nich i stopniem, i wiekiem. Sami czuli się zagubieni. Kiedy pojawił się komendant okręgu, feldmarszałek Wilhelm List, notabene bardzo dobrze znany Stpiczyńskiemu – oczywiście jednostronnie, po krótkiej wymianie kurtuazyjnych zdań na temat sytuacji na froncie Stpiczyński jako pułkownik baron Arnold von Lückner został odwieziony samochodem na dworzec, żeby mu kolejny pociąg nie uciekł, a prawdziwi żołnierze SS przepustek nie dostali. Niemcy nawet w czasie wojny mieli w sobie ogromny szacunek do arystokracji. Stpiczyński wiedział o tym i z premedytacją wykorzystał.

Zabawne. Ale na spotkanie z Leskim w Paryżu w końcu się spóźnił.

Ale Leski też! Jego zatrzymało bombardowanie. Ich błąd polegał na tym, że nie ustawili ewentualnego

alternatywnego spotkania. Tamto minęło, a w ogóle nie wzięli pod uwagę tego, że mogą się nie spotkać. Co też świadczy o tym, jak bardzo pewni siebie byli. Nie wiedzieli, jak się porozumieć w nowej sytuacji. Stpiczyński wpadł na pomysł. Poszedł do niemieckiej Komendy Placu i na tablicy ogłoszeń napisał, że baron Arnold von Lückner prosi jego ekscelencję generała Juliusa von Hallmana o skomunikowanie się z nim w hotelu Rochechoire. Julius von Hallman to był jeden z pseudonimów Leskiego. Na tablicy widocznej z daleka wymienili informacje, które wisiały pod nosem Niemców. Było to mega-niebezpieczne, ale udało się.

Kolejny dowód na pewność siebie. Leskiemu zdarzało się ją tracić?

Jak każdemu. Kiedy Leski był już w Paryżu, stał w kolejce do recepcji hotelowej, gdy urzędnik odrzucił kartki na wyżywienie stojącego przed nim oficera. Leski przestraszył się i chciał się wycofać. Ale nie zdążył. Niemiecki urzędnik zabrał mu kartki, obejrzał je i machając nimi przed nosem Bogu ducha winnego Niemca, krzyczał: „Widzi pan? Tak wyglądają prawdziwe kartki!”. Oczywiście, były podrobione.

Wygląda na to, że życie szpiega było całkiem wesołe. Tak to sobie dzisiaj mitologizujemy, czy rzeczywiście panowie mieli z tego frajdę, mimo tragicznego kontekstu?

Nawet nie wiesz, jak oni się cieszyli, kiedy – tak jak Niemcy, za których się podawali – dostawali wspomniane już kartki żywieniowe, żołądek czy przydział do hotelu. A tam? Pościel, ciepło, mydło, woda bieżąca! Można się umyć i wyspać, a nawet zjeść kolację. To była wielka radość dla nich. Leski, który był melomanem, w wolnych chwilach kupował sobie nawet płyty. Dodatkowo, zakładając, że gestapo nie zweryfikuje ich tożsamości, nie musieli się martwić, czy ktoś im rano zrobi nalot. To był ogromny komfort psychiczny.

Jaką właściwie mieli misję?

Wytyczyć trasy kurierskie do Hiszpanii, którymi nasi kurierzy mogliby dostać się na Gibraltar czy do Portugalii, a stamtąd drogą morską lub powietrzną do Anglii.

Co mieli przekazywać kurierzy?

Wszystko to, czego nie dało się przekazać drogą radiową, a więc zdjęcia, plany i inne graficzne dokumenty.

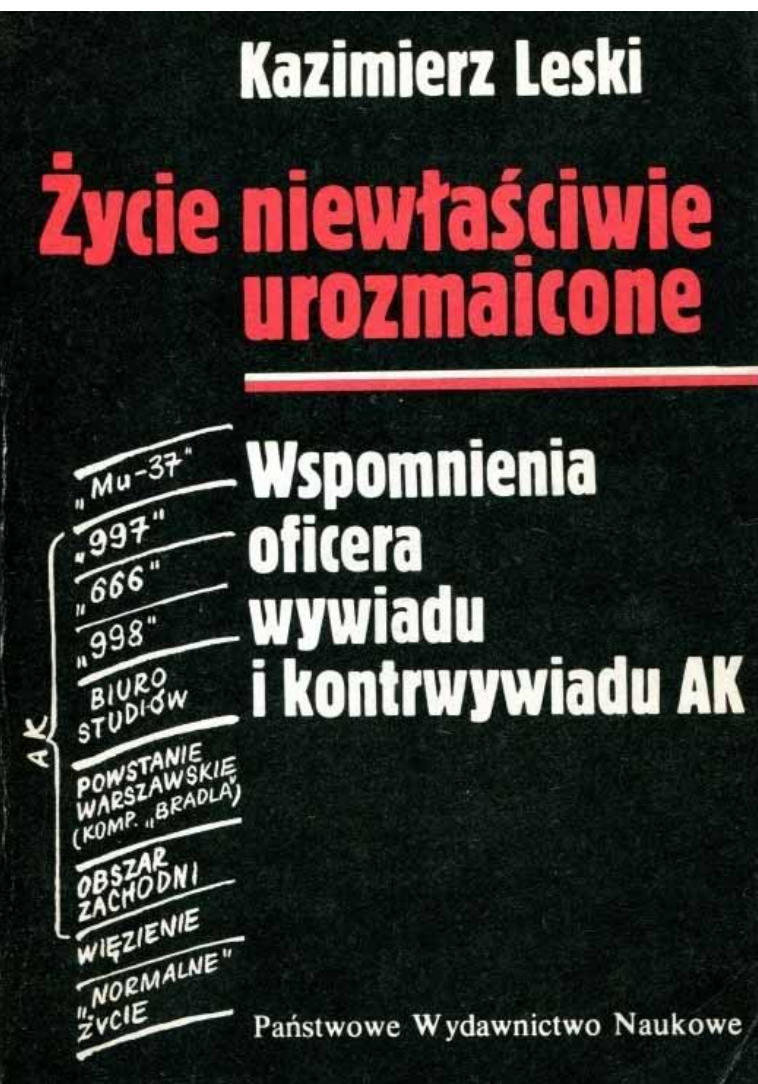
Misję udało się wypełnić?

Udało się im opracować trasy, ale nie powiodło im się przejście nimi do Hiszpanii. Z tych tras korzystali później również obywatele polscy narodowości żydowskiej. Zaopatrzeni w doskonale podrobione dokumenty ratowali się wyjazdem przez Francję do Portugalii. Za to Leski został uhonorowany tytułem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata i otrzymał honorowe obywatelstwo Izraela.

Dlaczego nie udało się im przejść?

Na początku wszystko szło dobrze. Leskiemu i Stpiczyńskiemu udało się nawiązać kontakt z francuskim ruchem oporu. Zaczęli współpracować i z francuskimi przewodnikami próbowali przejść. Pierwsze podejście nie udało się. Wyruszyli w Boże Narodzenie, kiedy spadł za duży śnieg. Teren był nie do zdobycia. Przejechali wtedy nadaremno pół Francji w ciężarówce z krowami. Wrócili do Paryża. Leski wyjechał do Polski, a Stpiczyński próbował przejść jeszcze raz. I wtedy go złapali.

Co poszło nie tak?



Jechał z przewodnikiem z francuskiego ruchu oporu. Już na granicy francusko-hiszpańskiej Stpiczyński przeszedł kontrolę dokumentów, ale jego przewodnik wpadł i spanikował. Krzyknął: „Ale on jest ze mną!” i Stpiczyńskiego cofnęli. To był młody francuski chłopak, który miał zakodowane w głowie, że ma Stpiczyńskiego nie opuszczać. Nie załapał w odpowiednim momencie, co się dzieje.

Co stało się ze Stpiczyńskim?

Trafił do obozu pod Paryżem, gdzie w międzynarodowym towarzystwie innych więźniów postanowili zrobić podkop. I tego postanowienia się trzymali. W tunelu mieli wszystko, nawet światło. Komendant obozu, kiedy sprawa wyszła na jaw, nazwał ich „ekipą metra”. Jedną z kar było zmniejszenie racji żywności do skromnej porcji chleba i wody. Ale cały obóz zaczął im się zrzucić na jedzenie, więc nieustannie mieli ciepłe posiłki, właściwie więcej niż wcześniej. Potem przewozili ich w inne miejsce pociągiem, z którego Stpiczyński wyskoczył i złamał sobie kolano. Leżał w szpitalu w Lotaryngii. Zbiegł stamtąd i dzięki Polakom mieszkającym w tym regionie udało mu się uniknąć niemieckiej oblawy i przedostać się do Paryża.

To bardzo ciekawa postać. Po wojnie osiadł w Ekwadorze, gdzie założył plantację kawy, ale w latach 70., kiedy nie był już obciążony żadnymi represjami, wrócił do Polski. Po powrocie zadzwonił do Leskiego. Spotkali się po latach.

Bardzo filmowe są te ich przygody.

Filmowcy wykorzystali już potencjał tkwiący w życiorysie Leskiego. To on stał się pierwowzorem postaci Hansa Klossa. Wydaje mi się jednak, że „Cztery pancerni i pies” i właśnie „Stawka większa niż życie” wypaczają obraz wojny. Pokazują, że Niemcy byli idiotami, których stosunkowo łatwo można było przechrzyć. Tak nie było. Leski i Stpiczyński byli naprawdę szalenie inteligentnymi, pewnymi siebie i odważnymi ludźmi. I genialnymi aktorami zasługującymi na Oscara.

Hans Kloss, Polak w niemieckim mundurze, budził wiele kontrowersji, kiedy serial trafił na antenę. Nie boisz się powtórki z rozrywki w czasach, kiedy władza postuluje czyste kino narodowe?

To były lata 60., wojna była jeszcze zbyt żywym wspomnieniem. O Leskim i innych agentach działających w ten sposób w czasie wojny zwyczajnie nie wiedzano. Ludzie, którzy pamiętali wojnę, nie

chcieli jej znów oglądać. Ale z biegiem czasu serial miał coraz więcej fanów, bo to przecież Polak wodził Niemców za nos. No i był wtedy tylko jeden program w telewizji – od 1974 roku – dwa. Wydaje mi się, że ta kwestia budzi więcej kontrowersji dzisiaj niż wtedy.

W moim filmie zamierzałam dotknąć prawdy o Leskim, jakkolwiek niewygodna by była. Dziś, jak coś jest niemieckie, to nie wypada tego dotykać, tak jak Wanda, która nie chciała Niemca i rzuciła się do Wisły. Sama pytałam powstańców, jak czuli się z tym, że nosili niemieckie mundury. Usłyszałam, że im to nie przeszkadzało, bo przecież na rękawach mieli biało-czerwone opaski. A na niemieckich hełmach polskie orzełki.

Artur Zaborski



WIARYGODNOŚĆ

– ciąg dalszy

W poprzednim numerze, w artykule pt. „Wiarygodność” opisaliśmy fakt nieuzyskania w 2020 r. dotacji na druk „Informatora Polskiego”.

Na nasz artykuł zareagowało Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”: *w nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w numerze 3–4 [110–111] 2020 r. Informatora Polskiego, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” potwierdza, że wniosek pt. Polonia. Federacja Organizacji Polskich i Polsko-Duńskich w Danii – dofinansowanie czasopisma „Informator Polski” został złożony do Kancelarii Premiera Rady Ministrów w 2020 roku w ramach zadania „Świat opisany po polsku – wsparcie mediów polonijnych na świecie”. Decyzją Kancelarii Premiera Rady Ministrów Państwa wniosek nie otrzymał dofinansowania, o czym Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” zostało poinformowane 29 kwietnia 2020 roku i zawiadomiło Państwa redakcję.*

27 października 2020 r. odbyło się posiedzenie sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, w którym wirtualnie uczestniczyli przedstawiciele Polonii.

* * *

Zamieszczamy poniżej wybrane fragmenty z pełnego zapisu przebiegu posiedzenia, który znajduje się na stronach internetowych Sejmu RP:

Zapis w pliku pdf:

<https://orka.sejm.gov.pl/zapisy9.nsf/0/8444AFD70B7695C7C12586170039F058/%24File/0068809.pdf>

Zapis wideo część 1:

https://www.sejm.gov.pl/Sejm9.nsf/transmisje_arch.xsp?unid=39B4699E08BC62B0C125860A003274B3&fbclid=IwAR3V2vwszZ6ZkUTwRZD-DJbx-3D3uL9Mw5BK_x3YxHGFY16UVTPSeePyeK8

Zapis wideo część 2:

https://www.sejm.gov.pl/Sejm9.nsf/transmisje_arch.xsp?unid=674EE86734EAC66FC125860E00397029&fbclid=IwAR18sGEzzg-61usBU_bMgxokDem6dlRElYwrxza5ZRtsD05QMKf8ty-8wsU



Sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, pełnomocnik rządu do spraw Polonii i Polaków za granicą Jan Dziędziczak:

Bardzo dziękuję. Szanowny panie przewodniczący, panie i panowie posłowie, szanowni rodacy za granicą, którzy mam nadzieję nas słuchają, szanowne panie prezes, szanowni państwo, jak doskonale wiemy, w tym roku zmienił się sposób finansowania. Decyzją pana premiera Mateusza Morawieckiego, finansowaniem Polonii zajął się rząd polski. Działania polonijne państwa polskiego zostały skoordynowane, decyzją Rady Ministrów powstał urząd Pełnomocnika Rządu do Spraw Polonii i Polaków za Granicą. Zadanie to jest związane z pomysłem na finansowanie i **koordynowanie działań Polonii...**

Honorowy przewodniczący Federacji „Polonia” Roman Śmigielski:

...Nie wiem czy dobrze usłyszałem, czy było to przejęzyczenie, czy jakiś skrót myślowy, ale wydaje mi się, że pan powiedział, że pańskim czy departamentu zadaniem jest **koordynowanie działań Polonii**. To musi być przejęzyczenie. Państwo mogą koordynować pomoc dla Polonii z instytucji polskich.

Sekretarz stanu w KPRM, pełnomocnik rządu do spraw Polonii i Polaków za granicą Jan Dziędziczak:

Przepraszam, od razu wejdę w słowo. Oczywiście **mówiłem o koordynacji działań państwa polskiego dla Polonii**. Dokładnie tak powiedziałem.

Honorowy przewodniczący Federacji „Polonia” Roman Śmigielski:

Skrót myślowy, bo usłyszałem, że **koordynowanie działań Polonii**. Proszę państwa, zarówno Rada Polonii Świata, jak i Europejska Unia Wspólnot Polonijnych są to jakby parasole nad niezależnymi samorządowymi organizacjami i one decydują, co robi Rada Polonii Świata czy Europejska Unia Wspólnot Polonijnych. Rada czy Europejska Unia Wspólnot Polonijnych reagują na prośby organizacji członkowskich. Organizacje członkowskie, jeśli mają jakąś działalność i dają sobie radę sami, to robią to same. Jeśli potrzebują wsparcia Rady Polonii Świata czy Europejskiej Unii to proszą, i tu jest ta **koordynacja działań Polonii**, i to leży właśnie w gestii Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych czy w Radzie Polonii Świata.

Chciałbym też jedno powiedzieć. Słowa, które pan powiedział bardzo mnie cieszą, jeśli chodzi o jawność, transparentność, partnerstwo, konsultacje. Na trzech kolejnych zjazdach Polonii, notabene organizowanych przez Radę Polonii Świata, byłem popro-

szony, aby przewodniczyć albo mieć referat na temat współpracy między Polską a Polonią. Za każdym razem miałem łatwą sprawę, bo mogłem wziąć stary referat sprzed 4–5 lat, bo w takiej kadencji odbywają się zjazdy, po prostu mówić o tym samym, właśnie o tym, czego oczekujemy. Oczekujemy odpowiedzi na listy, potrzebujemy transparentności, żebyśmy wiedzieli, że jeśli nie dostajemy odpowiedzi, to dlaczego nie dostajemy – czy popełniliśmy jakiś błąd, że tak powiem, w czym jest pies pogrzebany...

Nie chcę tutaj za bardzo powtarzać za Heleną Mizińską, ale powiem jedno, że jeśli chodzi o ten temat budowania wizerunku czy obrony dobrego imienia, to nawet na ostatnim zjeździe Polonii mówiłem na ten temat. Mogę powiedzieć w ten sposób, że to jest nasza działalność statutowa, my to robimy od zawsze. Mam tutaj duże ilości przykładów, ale to są stare rzeczy na szczęście, ponieważ jesteśmy skuteczni..., ale jeśli pan mówi, że możemy zrobić konferencję i wytłumaczyć, jak robić to skutecznie, to już w tej chwili zapisuję się na to. Pisałem nie tylko do duńskich gazet. Pisałem nawet do ministra oświaty Danii, ponieważ na stronie internetowej Duńczy, minister czy ministerstwo w związku z Dniem Holocaustu napisało o polskich obozach, więc za każdym razem w odpowiedni sposób reagowałem. Dlatego mówię, że mogę służyć przykładami – udało nam się takie stwierdzenia zlikwidować. Mało tego, dziennikarze, a przynajmniej redaktorzy naczelni najważniejszych gazet, mówią, że było to w redakcji podniesione, że takich rzeczy nie wolno robić i w danej gazecie mają już wpisane w swój kodeks etyczny, że nie ma w ogóle czegoś takiego jak polskie obozy koncentracyjne. Chciałbym podziękować zarówno pani poseł Joannie Fabisiak, jak i Teresie Berezowskiej, która wspomniała mój kwartalnik. Chciałbym też podziękować panu ministrowi, ponieważ trzy lata temu dostałem przepiękny list od pana ministra, wtedy jeszcze z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z którego zacytuje tylko jedno zdanie, a to jest na całą stronę. Jest to przepiękny list, dziękuję serdecznie. Jest to sprzed trzech lat i jest tam napisane coś takiego: „*Za obchodzonym w 2017 r. jubileuszem kryje się ogrom państwa pracy i wytrwałe zabiegi o zachowanie jedyne go dziś czasopisma polonijnego ukazującego się w Danii.*” Mówię, że pan dużo więcej napisał, dużo dobrego i za to dziękuję. Z kolei 27 maja br. na komisji senackiej raczył pan powiedzieć, że trzeba zrobić wszystko, aby utrzymać redakcję mediów polonijnych. Istotne było to, aby media polonijne dostały zastrzyk środków, aby nam nie poupadały. Tydzień później otrzymuję ze „Wspólnoty Polskiej” informację, że nie uzyskaliśmy dofinansowania na ten rok. My tylko braliśmy środki na druk. Wszystko inne opłacaliśmy z naszych



skromnych, prywatnych pieniędzy. Może jeszcze dodam, że jestem emerytem. Brak możliwości druku w zasadzie kończy pismo drukowane, ale to nieważne, bo to jest jedno małe pismo, może dobre, a może niedobre. Tutaj akurat te trzy osoby, które oceniały, łącznie z panem, oceniały je dość dobrze.

Jest też coś takiego, co się nazywa Światowe Forum Mediów Polonijnych. W zeszłym roku byliśmy w Krakowie, powstało tam Światowe Stowarzyszenie Mediów Polonijnych i obie te organizacje, zarówno forum mediów – to jest po prostu taki zjazd – jak i samo stowarzyszenie też nie dostało w tym roku żadnych pieniędzy. Wiem, że jest przygotowane wirtualne spotkanie w tym roku. Jeśli pan tak ładnie pisze o tych mediach polonijnych, to prosimy o wsparcie tych mediów, które jeszcze są. Dziękuję.

(...)

Sekretarz stanu w KPRM, pełnomocnik rządu do spraw Polonii i Polaków za granicą Jan Dziedzic:

W przypadku „Informatora Polskiego” w Danii brak wsparcia wynika między innymi z tego, że jest to gazeta odpłatna, to znaczy, żeby zdobyć tę gazetę, trzeba ją kupić i za nią zapłacić. W dobie oszczędności covidowskich, analizując wszystkie przesłanki, uznaliśmy, że środowisko polskie w Danii, choćby na tle środowiska polskiego na Białorusi, w Mołdawii, na Ukrainie, jest na tyle bogate, że będzie starczało

temu środowisku na zakup kwartalnika raz na kilka miesięcy. Naprawdę naszym rodakom nic się nie stanie, jeśli zapłacą te 25 koron. Nie wiem, czy to jest godzina pracy raz na kwartał, nawet nie wiem, jaka jest stawka godzinowa w Danii. Generalnie, podpisuję się pod tym listem, który skierowałem do pana redaktora i dziękuję mu za pracę. Natomiast zrozumiecie państwo, że w dobie COVID-u nie jesteśmy w stanie płacić tak dużo jak... Nie płacimy tak mało, jak za rządów Platformy Obywatelskiej, ale też nie jesteśmy w stanie płacić tyle i wspierać takimi sumami, jakie były w poprzednich latach. Uznaliśmy tutaj, że skoro pismo jest płatne i się za nie płaci, to jakieś środki to środowisko zdobywa.

* * *

Ponieważ na posiedzeniu ze względu na ograniczenia czasowe, nie mogłem odpowiedzieć Panu pełnomocnikowi na powyższą wypowiedź, czynię to tutaj.

Jak już to wynikało z mojej wypowiedzi „Informator Polski” aplikował tylko o środki na druk. Wszystko inne opłacamy z naszych skromnych, prywatnych pieniędzy. Zgadzam się, że *naszym rodakom nic się nie stanie, jeśli zapłacą te 25 koron*. Problem leży w tym, że nie możemy im ani za 25 koron, ani za darmo, zaoferować pisma, które (z powodu braku dotacji) nie zostało wydrukowane.

Roman Śmigielski

KUSTOSZ PAMIĘCI POLAKÓW NA „NIELUDZKIEJ ZIEMI”



ROMAN DZWONKOWSKI SAC

Tuż przed końcem trudnego 2020 r., w środę 30 grudnia, w wieku 90 lat zmarł ks. prof. Roman Dzwonkowski SAC, socjolog, wieloletni profesor nauk społecznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od 1989 r. członek Komitetu Badań Polonii PAN i Polskiej Akademii Umiejętności. Od 1992 r. należał do Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Był również bardzo aktywnym członkiem Komitetu Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków.

Urodził się 30 listopada 1930 r. we wsi Dzwonek na Mazowszu, w powiecie ostrołęckim. W 1949 r. ukończył Gimnazjum w Ostrołęce i wstąpił do Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotyni), rozpoczynając nowicjat zakonny w Ołtarzewie koło Warszawy. W 1958 r. ukończył studia filozoficzno-teologiczne w tamtejszym Wyższym Seminarium Duchownym, a rok wcześniej, w 1957 r., przyjął święcenia kapłańskie. W 1961 r. ukończył

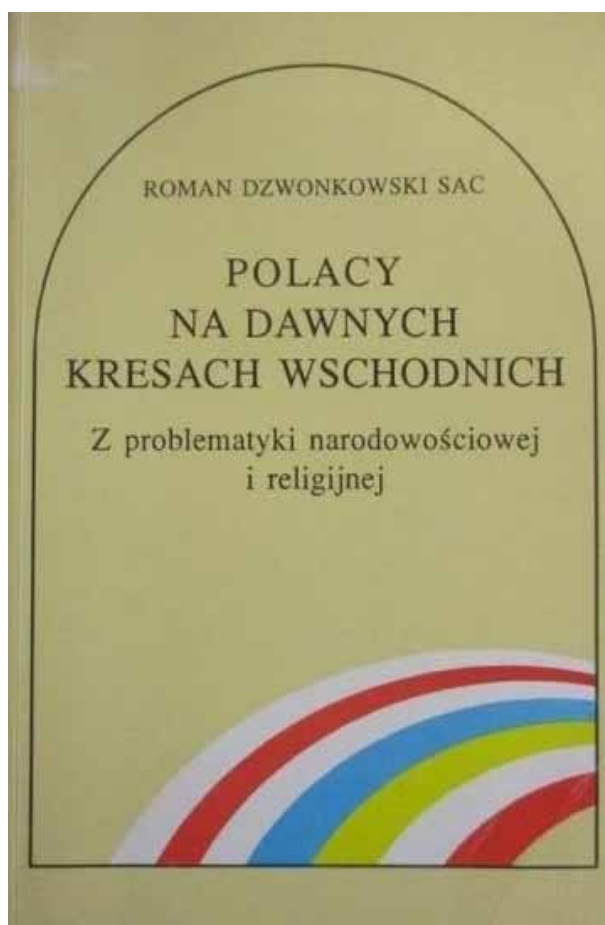
studia z zakresu katolickiej nauki społecznej na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL i rozpoczął pracę wykładowcy w swoim zakonnym seminarium duchownym w Ołtarzewie. W 1966 r. uzyskał na KUL stopień doktora. W 1977 r. został etatowym pracownikiem naukowym KUL, specjalizującym się w historii Kościoła katolickiego w ZSRR i socjologii grup etnicznych. Habilitował się w 1984 r. na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL. W 1992 r.

otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 2001 r. zwyczajnego. Wykładał także w Wyższym Seminarium Duchownym Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotynów) w Ołtarzewie oraz w Wyższym Seminarium Duchownym Diecezji Kamieniecko-Podolskiej w Gródku Podolskim na Ukrainie.

Od 1972 r. często przebywał we Francji, gdzie prowadził badania nad emigracją polską w tym kraju. Ich wynikiem jest książka „Polska opieka religijna we Francji 1909–1939” (Poznań 1988). W 1970 r. po raz pierwszy przebywał na Wileńszczyźnie, wówczas jeszcze stanowiącej część ZSRS, gdzie zajmował się badaniem kultury polskiej, szczególnie religijnej, na dawnych Kresach Wschodnich I i II Rzeczypospolitej. Później zajął się także problemami Polaków na terytorium całego ZSRS.

W 2000 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, a w 2010 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 70. rocznicę urodzin jako „wyraz uznania i wdzięczności za pracę naukową w Instytucie Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL (1977–1990)” pracownicy tego Instytutu dedykowali ks. Dzwonkowskiemu 21 tom „Studiów Polonijnych”. Biblioteka Narodowa w Warszawie w swoim katalogu wylicza pod Jego nazwiskiem 228 publikacji. Przede wszystkim są to prace naukowe, popularnonaukowe i publicystyczne. Wśród wydanych przez Niego książek należy wymienić m.in.: „Polacy na dawnych Kresach Wschodnich. Z problematyki narodowościowej i religijnej” (Lublin 1994), „Kościół katolicki w ZSRS 1917–1939. Zarys historii” (Lublin 1997) czy „Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939–1988” (Lublin 2003). Publikacje ks. prof. Dzwonkowskiego są wysoko cenione w krajowych i zagranicznych środowiskach naukowych. Mają też szerokie grono czytelników w Polsce i w krajach, których dotyczyły zrelacjonowane w nich badania. Budzą duże zainteresowanie, bo poruszana w nich problematyka przez długi czas była mało znana, a nawet wręcz zakazana. Zmarły był jednym z pionierów, którzy się nią zajęli. I to pionierem nader odważnym, szukającym skutecznych sposobów dotarcia do niedostępnych źródeł i zastraszonych świadków.

Dokonania naukowe ks. prof. Dzwonkowskiego na przestrzeni Jego długiego życia są niezwykle bogate. Z biegiem czasu porzucił temat Polonii francuskiej, ongiś bardzo mu bliski, wydawało się wręcz, że dokonania w tym zakresie będą Jego *opus vitae*. Przedmiotem Jego badań zostało jednak coś ważniejszego i bardziej pasjonującego – Polacy za Bugiem, i to nie tylko w najbliższej od tej rzeki odległości, ale na rozległych ziemiach dawnego Kraju Rad, „nieob-



jętych dla ludzkiego oka”, jak kiedyś o tym śpiewano, a teraz już tylko się wspomina.

Z perspektywy lat należy doprawdy pogratulować wycucia, bo warto było zrobić ten długi krok znad Sekwany aż nad Wołgę. Na Wschodzie wiele spraw ludzkich leżało zagrzebanych nie tylko w niepamięci czy też w pamięci stale jeszcze sterroryzowanej i zafałszowanej. Książd Profesor wiele się natrudził, aby tę pamięć odkopać czy też ośmielić przechowujących ją świadków i sprawić, by stała się świadectwem. To wielka zasługa Księdza Profesora. Z pewnością inni napiszą o tym jeszcze bardzo wiele, trzeba jednak od razu stwierdzić, że tych ginących świadectw nikt by już za jakiś czas nie zdołał uratować. Ks. prof. Roman Dzwonkowski uczynił to z wielkim powodzeniem.

Dziś każdy, kto pisze na temat Polaków na Wschodzie, sięga niechybnie do publikacji ks. prof. Romana Dzwonkowskiego, który stał się po prostu przewodnikiem w tych badaniach, niczym koryfeusz w starogreckim chórze. Zaczynając jako zwykły badacz, z biegiem czasu został wytrawnym profesjonalistą i miłośnikiem Kościoła katolickiego i polskości na Wschodzie. Przy różnych okazjach z pasją zabierał głos na temat obrony języka polskiego w sprawowanej tam liturgii. W duchu umiłowania problematyki



Ks. prof. Roman Dzwonkowski SAC

wschodniej odbył na Wschód wiele podróży. Był chyba we wszystkich krajach dawnego ZSRS. Nawiązywał do korzeni chrześcijaństwa na tych ziemiach. Nie tylko o tym pisał, ale też czynnie udzielał się w tamtejszym duszpasterstwie. Umacniał wiernych w wierze i służbie ludowi Bożemu. Z autopsji poznał zapach owczarni, która długo była pozbawiona swoich pasterzy.

Z podróży na Wschód miał wiele ciekawych obserwacji i wspomnień. Barwnie o tym opowiadał. Rozbudzał w polskim społeczeństwie zainteresowanie sprawą niesienia pomocy materialnej i duchowej

wierzącym za naszą wschodnią granicą. Przy tym bliscy mu byli nie tylko katolicy, pomagał też wielokroć prawosławnym. Podkreślał z przekonaniem, że polski ksiądz nie tylko dla Polaka na Wschodzie jest zawsze miłym i pożądanym gościem. Był znany i ceniony nie tylko przez starsze pokolenie, ale także przez ludzi młodych, którzy z chęcią gromadzili się wokół niego. Cenili go ludzie prości i uczeni, duchowni i świeccy. Miał dłonie zawsze otwarte dla potrzebujących wsparcia, zwłaszcza duchowego, którego na Wschodzie potrzeba dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Po ks. prof. Romanie Dzwonkowskim zostało puste miejsce. Przyszedł czas, by Jego dziedzictwo z równą gorliwością podjęło nowe pokolenie, zdolne tak jak On do poświęceń, bo też i na Wschodzie „żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało” (Łk 10, 2).

Ks. prof. Edward Walewander

PRAWO ALIBO POZÓR

Wielbiciel sienkiewiczowskich „Krzyżaków” pamiętają przygodę Zbyszka z Bogdańca, który na podkrakowskim gościńcu nieopatrznie zaatakował krzyżackiego posła. Miecz katowski wydawał się nieuchronny, ale nawet u bram stolicy i pod boki samego króla udało się tragedii uniknąć, za radą kasztelana krakowskiego Jaśka Topora. Radą krótką ale radykalną: „Znajdźcie mi prawo, ba, niechby i pozór ...”. Zbyszko, jak pamiętamy, głowy nie stracił, a co ważniejsze, wygląda na to, że rada kasztelana z XIV wieku nic na aktualności nie straciła.

Ot np. ostatnio w zacnym królestwie „Danów, Gotów i Wandali” zdecydowano zatrudnić 30 sędziów Trybunału Stanu do rozpatrzenia sprawy godnej chyba samego Trybunału Norymberskiego. A wszystko to celem rozstrzygnięcia, jak bardzo „antykonstytucyjna” może być notatka dzielnej pani minister Inger Støjberg, zalecająca... przestrzeganie !!/ konstytucji, także wobec, ukochanych przez wpływową lewicę, przybyszów zza ciepłych mórz. Także prawa o małżeństwach osób nieletnich.

Wrodzona skromność nie pozwala nam na przewidywanie wyroków w sprawie, która ma ponoć



potrwać kilka lat... Ot, całkiem jak niegdyś pod Krakowem, „znajdźcie jakieś prawo albo pozór...”

A jeśli przy okazji uda się załatwić jakieś partyjne rozgrywki, na to rywale zapewne się zgodzą, choćby nawet z fałszywą lezką w oku. I czyż nie będzie na miejscu, przypomnieć jakże bardzo duńskiej sceny z „Gangu Olsena”, gdy przestępcy uciekają skradzioną furgonetką browaru „Tuborg”. Nieufny policjant z nadzwyczaj surowej blokady drogowej, słyszy od szefa, że przecież nie wypada zatrzymać ciężarówki z piwem!

I czyż postronnemu obserwatorowi nie przypomniałby się wnikliwa uwaga księcia Hamleta, że: „*źle się dzieje w państwie duńskim?*”

Lecz, by uniknąć zarzutu czarnowidztwa, przytoczmy pocieszającą wiadomość o zezwoleniu na tworzenie „patroli obywatelskich” na kopenhaskich przedmieściach. Wprawdzie nie będą uzbrojone, ale samą obecnością, na pewno przyczynią się do „*przyspieszonej integracji pewnych grup mieszkańców?*”

Rozpisałiśmy się o tej mini-tragedii w szekspirowskim stylu (...*królestwo za małżeńskie łóżka dla podlotków*), ale tutejsze szukanie „prawa alibo pozoru” to drobiazg wobec doniesień o malowniczych wydarzeniach związanych z inauguracją amerykańskiego prezydenta. Uparcie nasuwa się myśl, że może i tam ktoś podsunął panu Donaldowi ze złocistą grzywką,





powtarzającemu historyjki o „ukradzionych wyborach...”, że w braku prawa, każdy „pozór” wydaje się dobry... I chyba stąd się wzięło zawołanie demonstrantów z 6 stycznia: „*Mości Panowie, kupą na Kapitol!*”

A czy dokonując takiego przeglądu można uniknąć pytań i porównań z rozwojem sytuacji w pań-

stwie „*Prawnym i Sprawiedliwym*”? Tu obejździemy się bez Szekspira, boć nie brak nam rodzimych wieszczów, którzy swój naród znali i – jak widać – nie jedno przewidzieli. Czy na przykład, stanu dzisiejszego proroczo nie opisał Wyspiański? Czyż od kilku lat nie jesteśmy świadkami swoistego „*Wesela*”? O kim to mowa, gdy słyszymy, że „*Myśmy wszystko zapomnieli...?*” A obserwując nabierający rozpędu chocholi taniec, trudno się oprzeć wrażeniu, że mając wybierać między „prawem albo pozorem”, najwyraźniej chcą pokazać, że „*pozorów ci u nas dostatek!*”.

Zapewne ludzie władcom niezbyt chętni powiedzą, by nie szukać oceny takiego postępowania w omszałych księgach. Ale obserwatorzy rządcom jeszcze mniej życzliwi przytoczą przykłady postępowania i nieodległe i wiele skuteczniejsze. Boć najdosadniej ujął to sowiecki prokurator Andrej Wyszynski: *Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie!* A w takim systemie wyrażenie „prawo albo pozór” można między stare pergaminy włożyć. Bo czyż nie dostrzegamy, że właśnie takie żonglowanie artykułami i paragrafami bywa ostatniemi czasami coraz częstsze, na przykład wobec sędziów, czy prokuratorów?

No, i na koniec, wróćmy pod swojskie strzechy. Zostawmy zamorskie dzielenie włosa na czworo... Wszak Kargul z Pawlakiem już dawno temu ustalili, że „sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie”!

(...no i prawo też!)

Adam be

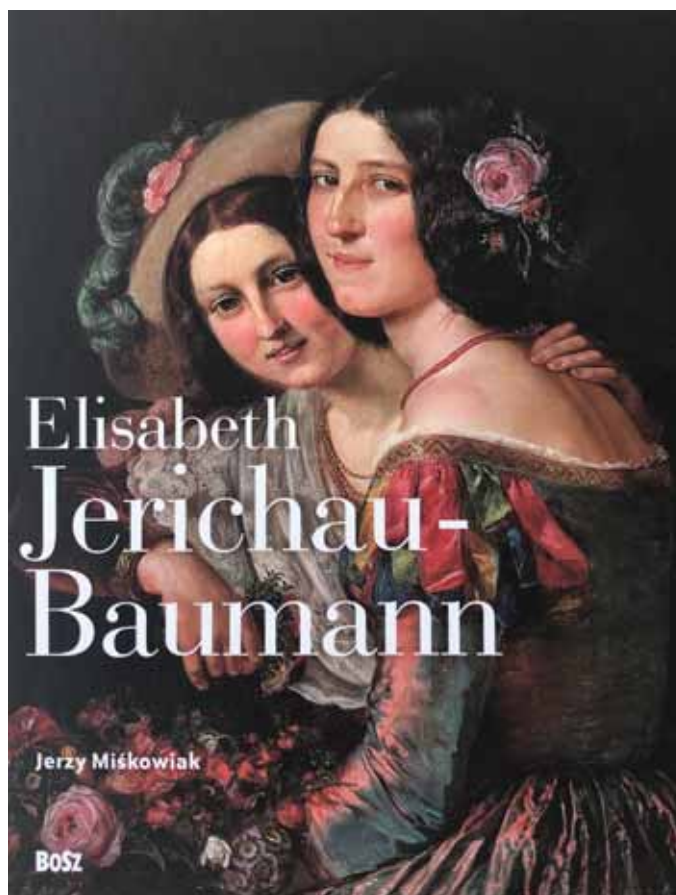


„LISINKA”

ELISABETH JERICHAU-BAUMANN

W wrześniu 2020 ukazał się w Polsce w wydawnictwie Bosz mój polsko-angielski album „Elisabeth Jerichau-Baumann”. Album przedstawia dorobek artystyczny wielce utalentowanej, charyzmatycznej i ekstrawaganckiej polsko-duńskiej artystki malarki z XIX wieku.

Wydaniu albumu patronowały Ambasada RP w Kopenhadze i Ambasada Królestwa Danii w Warszawie. Pani Ambasador Henryka Mościcka-Dendys zaprosiła mnie zaraz we wrześniu na odczyt o malarce w swojej Ambasadzie. Album był ukoronowaniem moich wieloletnich poszukiwań dzieł artystki w duńskich i zagranicznych zamkach, pałacach, muzeach, domach aukcyjnych i prywatnych kolekcjach. Elisabeth Jerichau-Baumann tworzyła w całej Europie, dotarła nawet do haremów w Konstantynopolu i piramid w Egipcie. Portretowała monarchów i żebraków, było jej wszędzie pełno, malowała, korzystając z bogatej palety barw. Zaskakiwała otoczenie swoją erudycją, śpiewem, tańcem, umiejętnością gry na fortepianie, aktorstwem, macierzyństwem i biegłym władaniem siedmioma językami. Była bystrą obserwatorką, pisała reportaże do gazet ze swoich podróży, a także książki o swoim życiu, urodziła dziewięcioro dzieci. Przyjaźniła się z pisarzem Hansem Christianem Andersenem i z królową Danii – Luizą. Jednym słowem przerastała swoje otoczenie i wyprzedzała czas!



Okładka albumu polskiego wydawnictwa BOSZ, 230 fotografii, 240 stron, cena 89,90 zł

Elisabeth Baumann urodziła się 27 listopada 1818 roku na Żoliborzu w Warszawie. W domu pieśzcotliwie wolano na nią „Lisinka”. W roku 1838 roku została Elisabeth przyjęta do progresywnej Akademii Malarstwa w Düsseldorfie. Studia ukończyła w 1844 roku. Podczas studiów artystkę nazywano „małą Polką”, a sama przez całe życie podkreślała, że jest Polką. Zwróciła tam „szybko na siebie uwagę i z powodu swej urody i niezmiernego talentu”. Nie znosiła jednak uwag w rodzaju „piękny talent jak na damę”, jej motywacją bowiem było ściganie się z mężczyznami. I tę konkurencję wygrała. Dyrektor akademii w Düsseldorfie i Monachium, malarz Peter von Cornelius, oglądając jej obrazy, powiedział jej kolegom malarzom: „Ta kobieta jest jedynym mężczyzną wśród was”. Malować „po męsku” było wtedy największą pochwałą! Uznanie w Düsseldorfie budził nie tylko jej talent malarski, lecz także aktorski. Jej wielkim sukcesem była rola Marii w sztuce Williama Szekspira *Jak wam się podoba*.

Dzięki sprzedaży obrazów z motywami z powstania listopadowego 1830 roku – jednego do słynnej kolekcji angielskiego markiza, Henry’ego Petty’ego Lansdowne’a, a drugiego, za pośrednictwem prestiżowego Berlińskiego Towarzystwa Artystycznego, księciu Wilhelmowi Radziwiłłowi (1797–1870) – Elisabeth mogła odbyć podróż do Rzymu, tego czasu *grand tour*. To miasto było stolicą artystyczną Europy, także dla skandynawskich twórców. Tutaj poznała duńskiego rzeźbiarza Jensa Adolfa Jerichaua, utalentowanego ucznia Bertela Thorvaldsena (1770–1844), znanego twórcy warszawskich pomników księcia Józefa Poniatowskiego i Mikołaja Kopernika.

Elisabeth i Jens Adolf pobrali się na rzymskim Kapitolu w 1846 roku. Mąż krótko po tym został mianowany profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze i w 1849 roku Elisabeth Jerichau-Baumann przybyła do swej nowej ojczyzny – Danii.

Elisabeth Jerichau-Baumann, polsko-niemieckiej imigrantki, nie przyjęto w Danii z otwartymi ramionami. Z powodu toczącej się akurat wojny z Niemcami panowały w Danii nacjonalistyczne nastroje. Trudno było cudzoziemcowi zdobyć uznanie. Wyjątkowe zdolności towarzyskie, językowe i artystyczne Elisabeth sprawiły jednak, że wkrótce zyskała przychylność duńskich monarchów, arystokracji, wysokich urzędników państwowych i środowiska artystycznego. Zaprzyjaźniła się na całe życie z księżniczką Luizą, przyszłą królową Danii, portretowała ją i jej rodzinę.

W ślady Luizy poszły koronowane głowy w Europie i w krajach Orientu. Bliska przyjaźń z międzynarodowej sławy pisarzem Hansem Christianem Andersenem sprawiła, że to on został ojcem chrzest-

nym córki Agnete, podczas gdy matką chrzestną – sama królowa Karolina Amelia.

Duński poeta Hans Vilhelm Kaalund w 1871 roku w wierszu z okazji jej srebrnych godów pisał, że Elisabeth „urodzona na brzegu Wisły, nieokiełzana jak radosne dziecko, mająca złoto w swym sercu i pijąca ze źródła piękności, została wysłana przez Boga, by nas uszczęśliwić swymi obrazami”. Wystarczyło jej spać tylko cztery godziny na dobę, i to gdziekolwiek. Pracowitość Elisabeth odzwierciedla anegdota. Po tym, jak mąż został mianowany profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze, Elisabeth powinna była przeprowadzić się do pięknego służbowego mieszkania w pałacu i siedzibie akademii – Charlottenborgu. Dyrektor Akademii Sztuk Pięknych, profesor i znany duński malarz Wilhelm Marstrand, często nakłaniał Elisabeth do przeprowadzki – mimo to nic nie mógł wskórać. Marstrand udał się więc osobiście do pani Jerichau, aby jeszcze raz porozmawiać z nią o zmianie mieszkania. Zobaczył ją stojącą na drabinie przed wielkim płótnem z pędzlem w prawej ręce, z głową przewiazaną chustą z powodu bólu zęba, z niemowlęciem ssącym lewą pierś i trzymającą w lewej ręce równocześnie paletę i dużą kanapkę, którą podjadała. Portretowała właśnie modela. Na ten widok Marstrand wykrzyknął: „Nie, teraz widzę to na własne oczy: pani nie ma czasu na przeprowadzkę!”

Obrazem *Matka Dania* (na okładce tego numeru), namalowanym w 1851 roku, w kulminacyjnym momencie wojny trzyletniej z Niemcami, podbiła serca Duńczyków. Obraz przedstawia dziewczynę z blond włosami, z ornamentem wikingów na czole, kroczącą przez łąny zbóż z mieczem i duńską flagą Dannebrog w rękach. Postać ta stała się dla Duńczyków ucieleśnieniem ojczyzny. Ta uzbrojona walkiria miała ich bronić przed wrogami. Obraz był powielany wszędzie, w tym na puszkach kawy i czekolady oraz na pudełkach zapalek. Duńskie kobiety z Szlezewiku, anektowanego przez Niemców w 1864 roku, po kolejnej wojnie, przypinały miniaturę portretu do sukien, gdy odwiedzały Kopenhagę.

Elisabeth potrafiła sprostać również wyzwaniu, jakim jest macierzyństwo: urodziła dziewięcioro dzieci. Piątka z tych siedmiorga, które przeżyły pierwszy rok, otrzymała zarówno dobre wychowanie, jak i wykształcenie. Nie brakowało jednak w życiu rodzinnym zmartwień i tragedii. Dwójka dzieci z uwagi na choroby przebywały w kosztownych ośrodkach psychiatrycznych. Małżeństwo z Jensem Adolfem Jerichauem nie układało się pomyślnie. Mąż zdradzał Elisabeth ze swoimi modelkami, cierpiał na depresję, słabo zarabiał i nie mógł pogodzić się z jej, skądinąd niezbędnymi dla utrzymania rodziny, podróżami.



Księżniczka Nazli z haremu. 1875, olej, 132 x 152 cm, prywatna kolekcja

W Europie uwielbiano Elisabeth. Jej umiejętności językowe – mówiła biegle po polsku, rosyjsku, niemiecku, duńsku, angielsku, włosku, francusku i trochę po arabsku i persku – pozwoliły jej zyskać takich przyjaciół jak: kompozytor Felix Mendelssohn-Bartholdy, bracia Grimm, pianistka Clara Schumann w Niemczech oraz pisarz Charles Dickens w Wielkiej Brytanii, a także podróżować samotnie zarówno po Europie, jak i po krajach Orientu. Należała do nielicznego w tym okresie grona duńskich globtrotterów. Nie bała się podróżować w pojedynkę: „Mam towarzysza: moje pięćdziesiąt lat” – mówiła. Było jej równie dobrze tak na polerowanych parkietach, jak na glinianych podłogach, w towarzystwie monarchów czy żebraków. Wyprawiła się nawet dwa razy do krajów Orientu, w latach 1869–1870 i 1874–1875. Czowała, że zagranica była przyjazna jej twórczości; podróże dawały jej artystyczną inspirację i odnowę. Poza Danią mogła skutecznie promować swoją sztukę, sprzedawać ją i w ten sposób wspierać swoją liczną rodzinę. Jej pogrążony w depresji mąż zarabiał bowiem mało i zleceniodawcy Elisabeth „mieli porządnie zapłacić”. I robili to! W czasie pierwszej podróży do Orientu zarobiła 28 000 koron, co odpowiadało 11,3 kg czystego złota! Jako pierwsza w świecie malowała w hermetycznie dotąd zamkniętych haremach.

W Kairze za dwa wizerunki dzieci wicekróla Ismaila otrzymała 7 kg złotych monet, które w torbie na kapelusz, pełna strachu, musiała sama przetransportować na statek w Aleksandrii. Cesarz Napoleon III zapłacił za obraz *Czytanie Biblii* odpowiednik 2,9 kg złota. Elisabeth wiedziała, jak postępować, aby się

z nią liczone. W Atenach początkowo zamieszkała w najdroższym hotelu, jednak po uzyskaniu zamówienia na portrety od króla Jerzego I i królowej Olgi przeniosła się do skromniejszego lokum, by zaoszczędzić nieco pieniędzy dla rodziny.

Zdolności artystyczne Elisabeth Jerichau-Baumann nagradzano zarówno w Danii, jak i za granicą. W Danii w 1858 roku otrzymała jako pierwsza kobieta Złoty Medal Thorvaldsena, a w 1861 roku została członkiem Akademii Sztuk Pięknych. Jej obrazy były prezentowane na światowych wystawach w Paryżu, Wiedniu i Londynie. Angielski „The Times” pisał, że „obrazy Elisabeth Jerichau-Baumann równają się z najlepszymi dziełami dawnych mistrzów”. W elitarnym Salonie Paryskim w 1861 roku zdobyła wyróżnienie, w Berlinie i Amsterdamie w 1867 roku i w Wiedniu w 1873 roku otrzymała złote medale. Elisabeth sięgała nie tylko po pędzel, lecz również po pióro. Była utalentowaną dziennikarką i pisarką. Opublikowała kilka książek o swoim życiu, podróżach i synu Haraldzie. W swoich książkach artystka powracała wielokrotnie do dzieciństwa w Polsce. Jej rodzinny dom znajdował się w Warszawie w miejscu usytuowania obecnej cytadeli: „Wzburzona Wisła płynęła obok mego starego domu otoczonego przepięknym ogrodem. Pamiętam do dziś, jak rosyjscy żołnierze [...] sypali wały w naszym pełnym kwiatów ogrodzie, jak one rosły wyżej i wyżej, grzebiąc nasze dziecięce wspomnienia. Wydawało się, że Wisła w bezsilnym gniewie napiera na fundamenty [...] cytadeli okalającej teraz mój dziecinny dom”.

Powstanie listopadowe 1830–1831 wywarło ogromne wrażenie na dwunastoletniej dziewczynce:

„Moja mała głowa była pełna powstańczych pieśni, które dotąd wszystkie pamiętam. Cudowni ułanie galopowali ulicami, każdy z biało-czerwoną chorągiewką na lancy. Za nimi szły ochotnicze oddziały chłopów, kosynierów, uzbrojonych w kosy stawione na sztorc i wszyscy śpiewali: »Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy. Co nam obca moc wydarła, [szablą] odbierzemy«. Białą orzeł na czerwonym tle trzepotał radośnie w powietrzu i nadeszła wolność. Ludzie wszelkich stanów, młodzi i starzy szli na świętą wojnę, nawet kobiety zapomniały o swojej płci i obowiązkach, by iść za sztandarem, albo też chwytały za łopatę, by sypać szańce». Po klęsce powstania widziała „szeregi białych mężczyzn, żołnierzy w łachmanach, pozbawionych broni, wpatrujących się w ziemię. Wielu z nich zaciskało pięści w bezsilnym gniewie, wielu było kalekami, jeden miał ramiona w bandażach, drugi wspierał się na kuli. Płaczące kobiety z tobołkami i dziećmi na ręku szły na końcu tego smutnego pochodu. Opłakiwały utratę wolnej Polski, utratę wolności odcinając ją od ojczyzny i skazującą na wygnanie. Przy granicznym słupie żegnali się z ojczyzną, niektórzy brali garstkę tej ziemi, o której wolność walczyli, przesączoną krwią i łzami, pozostawiając dzieci i przyjaciół, tych najbardziej ukochanych i których już nigdy więcej nie zobaczą! Moje młode serce czuło ich ból, nigdy w moim życiu nie byłam bardziej milcząca i pełna smutku, jak wtedy w drodze do mojego domu”.

Powstańcze wspomnienia zinterpretowała Elisabeth artystycznie w 1844 roku w dwóch dyplomowych obrazach namalowanych w Akademii Malarstwa w Düsseldorfie: *Polka uciekająca z dziećmi ze zniszczonego domu* i *Polska chłopska rodzina na zgliszczach spalonego domu*. Pisała z dumą: „Praca moja zyskała duże uznanie wśród kolegów malarzy i miłośników sztuki i po pewnym czasie byłam już wymieniana wśród najświetniejszych artystów Düsseldorfu”. Obrazy Elisabeth Baumann wywołały wielkie poruszenie w świecie artystycznym w Polsce, Niemczech i Wielkiej Brytanii. Na wystawie w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie w 1844 roku powtórzyły się sceny z Düsseldorfu: „Tłumy widzów oblegały obrazy ręką panny Baumann

robione” – donosi w 1846 roku warszawskie czasopismo „Dzwon Literacki” a Wincenty Smokowski (1797–1876), malarz i profesor malarstwa na Uniwersytecie Wileńskim wynosi pod niebiosa obrazy Elisabeth Baumann: „Roboty panny Baumann są u nas zjawiskiem tak ciekawym, iż prawdziwie zdumieni, niedowierzamy, aby ręka ludzka je malowała”.

Po powstaniu styczniowym 1863–1864 Elisabeth namalowała obraz *Zraniony Polak*, znany także jako *Umierający Polak*. Jest więc artystka obok Artura Grottgera jednym z polskich malarzy powstania styczniowego. Wielki polski pisarz Ignacy Józef Kraszewski widział ten obraz na wystawie w Dreźnie już w 1872 roku i napisał: „W ciemnym kątku wisi niepozorny w oko obraz pani Jerichau *Umierający* [...] jest jednym z najznakomitszych. Już w 1851 pisał Kraszewski: „Przed kilką laty oglądano w Warszawie roboty prawdziwie mistrzowskie olejno malowane, znakomitą artystki panny Baumann; zadziwiliśmy się nad ogromnym jej talentem, z jakim prawdę i urok natury na płótno pędzlem przelewała, czysty i poprawny rysunek, miękkość pędzla, układ draperyi i jej fałdowanie szerokie, słowem te wszystkie zalety jakie dojrzałego mistrza znamionują”.

Elisabeth Jerichau-Baumann zmarła 11 lipca 1881 roku i spoczęła obok swego męża na cmentarzu Solbjerg w Kopenhadze. W nekrologu w warszawskim tygodniku „Kłosa” napisano, że „Elżbieta, nie zapomniała o swojej narodowości i przy każdej sposobności wygłaszała z dumą, że jest Polką”. Inny tygodnik warszawski, „Bluszcz”, podaje też, że gdy jedno z duńskich pism napisało, że Elisabeth jest Niemką, sprostowała ona pomyłkę, oświadczając, „iż narodowości polskiej nie poświęciłaby dla żadnej innej”. Do Danii wróciła jak kometa na rynek artystyczny w latach 90. XX wieku dzięki księżce Birgit Pouplier *Lisinka* (wydanej także w Polsce) i licznym wystawom. Na największej w historii wystawie obrazów poświęconej „złotej epoce” malarstwa duńskiego, prezentowanej w latach 2019–2020 w sztokholmskim Nationalmuseum, kopenhaskim Statens Museum for Kunst i w paryskim Petit Palais, wymienia się Artystkę w ścisłej czołówce malarzy duńskiej złotej epoki (1807–1864).

Jerzy Miśkowiak

*Jerzy Miśkowiak urodził się w 1947 w Polsce. W 1970 roku uzyskał dyplom lekarski z wyróżnieniem z Akademii Medycznej w Poznaniu, i przeniósł się do Danii ze swoją duńską żoną Bodil. Uzyskał doktorat w Poznaniu na temat scyntygrafii w diagnostyce krwawienia do przewodu pokarmowego, a w Kopenhadze doktorat na temat chirurgicznego leczenia otyłości. Pracował jako chirurg w szpitalu w Słupcy i w duńskich szpitalach na Bornholmie, w Aalborgu, w Vejle i w Kopenhadze. Jako naukowiec opublikował przeszło 70 artykułów w międzynarodowych czasopismach lekarskich, między innymi w angielskim **Lancet**. Badawcze doświadczenie wykorzystał w pracy nad polsko-duńską artystką-malarką Elisabeth Jerichau-Baumann.*



1. Autoportret artystki, olej, 86 x 55 cm, Nationalhistoriske Museum, Hillerød Slot. Pokazany w 1845 roku na Wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie w salach Szkoły Malarstwa na Krakowskim Przedmieściu



2. Królowa Danii Luiza. 1881, olej, 238 x 144 cm, Amalienborg

3. Jens Adolf Jerichau, 1846, 142 x 95 cm, Statens Museum for Kuns

4. Hans Christian Andersen, 1850, olej, 99 x 61 cm, Nationalhistoriske Museum, Hillerød Slot

OBRAZY ELISABETH JERICHAU-BAUMANN

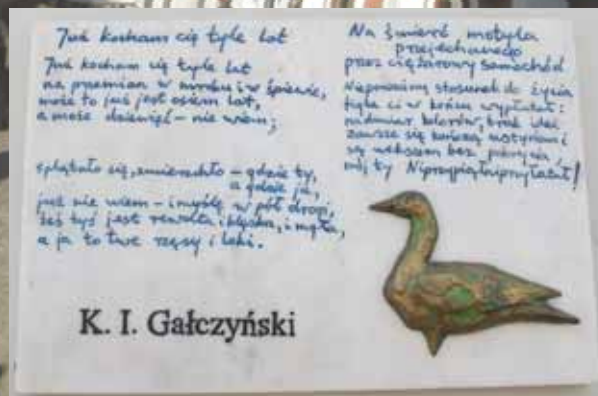




WILNO

ŚLADY POLSKICH PISARZY

(fot. Roman Śmigiełski)

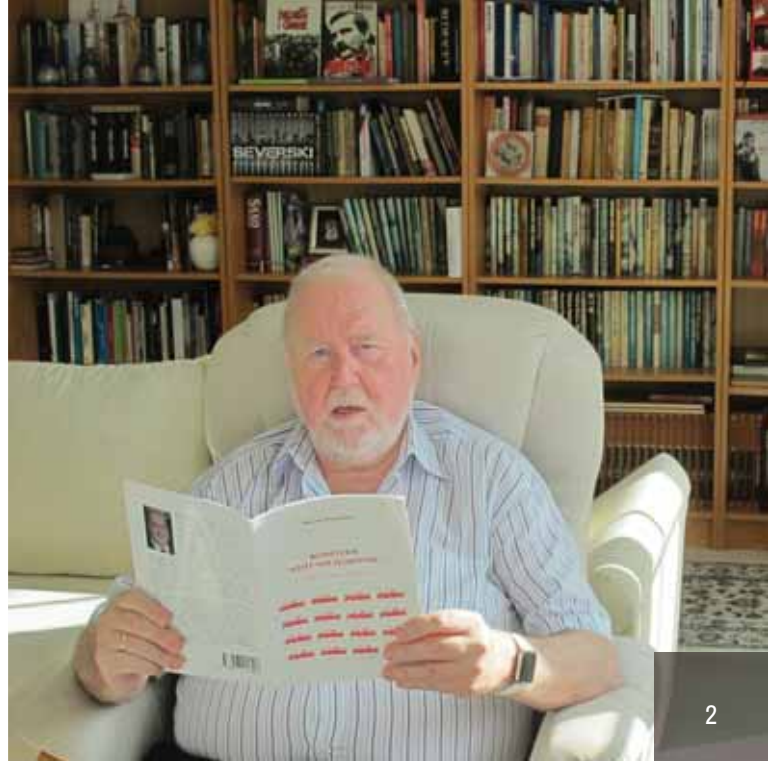




1. Foran Solidarność-kontoret på H. C. Ørstedsvvej 50 B på Frederiksberg: Kirsten Faber, Andrzej Świątek, Wiktor Drukier og Roman Śmigiełski

2. Forfatter til udgivelsen Roman Śmigiełski

3. Aktuelt, den 12. december 1984



2

Polakkerne overgiver sig aldrig

I morgen er det tre år siden, at denne mand — general Jaruzelski — gav ordre til krigsretstilstand i Polen. Interneringer, arrestationer, massefyringer var imidlertid ikke nok til at udslette Solidarność. Organisationen lever stadig. Under jorden. Roman Śmigiełski rider situationen i sit hjemland op.



Roman Śmigiełski
Medlem af Koordinationsgruppen i østet Solidarność

Den 14. august 1980 afskediges Anna Walentynowicz fra sit job som kransfører på Leninvej i Gdansk. Afskedsgæsten udløser en spontan arbejdsnedlæggelse, en strejke, der fører til dannelsen af den frie uafhængige fagforening Solidarność.

Strukturen af det polske politiske system og dets krise var grunden til, at Solidarność blev en massebevægelse med næsten 10 millioner medlemmer. Hver tredje indbygger i Polen var med i denne fagforening.

Solidarność' opbygning og virksomhed skædes op for en bred demokratiseringsproces i samfundet. Solidarność gav polakkerne håb om en bedre fremtid og blev en inspirationskilde for den vestlige verden.

I morgen for tre år siden, den 13. december 1981, vågnede polakkerne op til en ny situation. Det Militære Råd til Nationalt Frihed (WRON) under ledelse af general Jaruzelski havde erklæret krigsretstilstand — en krig mod deres eget folk, en krig mod et fagforening.

Det polske folks vedvarende modstand fra første dag af krigsretstilstanden tvang gang på gang myndighederne til indrømmelser. Interneringer, arrestationer, massefyringer og drab var ikke nok til at udslette Solidarność. Den gik under jorden for at fortsætte sin kamp mod regimet.

Det lykkedes ikke Jaruzelski at tvinge det polske folk i knej. Polakernes ubøjelighed og fasthed i kampen for retfærdighed havde båret frugter. Hovedparten af de interesserede med Lech Wałęsa i spidsen er nu blevet løsladt. Magthaverne beholder dog 13 fremtrædende fagforeningsledere som gidsler. De 7 Solidarność-ledere og 6 rådgivere fra KOB (den tidligere komité for forsvar af arbejderens rettigheder) blev forlansat anklaget for at have villet omstyrte samfundssystemet med voldelige midler. Denne anklage kunne ikke betragtes som andet end absurd. Under protester fra hele verden måtte Jaruzelski opgive at fæse skudsprosser mod de 13.

Magthaverne led også nederlag på informationsområdet. Tusinder af underjordiske tidsskrifter, flere uafhængige forlag og radio Solidarność har til sammen brudt statens informationsmonopol.

Den fortsatte stætte fra de demokratiske fagbevægelser verden over samt tilfældet af Nobels Fredspris 1983 til Lech Wałęsa betragtes som en moralisk sejr, der gav polakkerne nye kræfter i kampen for deres rettigheder samt håb for fremtiden.

Medlemskabet af Solidarność blev ulovligt. På trods heraf betaler ca. 1 million medlemmer fortsat kontingent til fagforeningen. De nye regeringsindretninger kan ikke vinde indpas på de polske arbejdspladser. Solidarność eksisterer og har fortsat en bred opbakning i den polske befolkning.

Valget til de lokale Nationale Råd den 17. juni i år er uden tvivlsomt i den historiske historie. På trods af, at myndighe-

derne brugte forskellige metoder til at forfalske resultaterne, var de ude af stand til at nå op på den »officielle« valgdeltagelse på 99%.

Den polske Helsinki-komité har sammenstillet en liste på over 50 dødsfald for krigsretstilstanden og dens efterfølgende. Det er ikke første gang i historien, at arbejderne bliver draget i kampen for deres faglige repræsentation. Solidaritets-, organisatorisk fasthed og kampvilje har for været afgørende i arbejderens kamp.

De polske arbejdere synes at have styrke til at holde fast på deres krav. Det har de bevist i de sidste tre år.

I debatten omkring de polske begivenheder er der fremst en del påstande, som man ikke kan være enig med.

Den første af dem er, at »Solidarność ville for meget og for hurtigt«.

Man må nedværdigvis indrømme, at ikke alle Solidarność-aktiver og udvalgte var velovervejede, men man kan ikke forvente andet fra en ny demokratisk bevægelse. Indførelsen af krigsretstilstanden skyldes dog ikke en sådan aktion eller utiltalte. En totalitær stat vil ikke på længere sigt finde sig i at blive kontrolleret på demokratisk vis.

Underskrivelsen af Gdansk-af-talen den 21. august 1980 udsatte hse staten en forvarmekanisme, der i december 1981 resulterede i krigsretstilstanden. Det tog magthaverne 16 måneder at forberede det, som de selv kaldte »nationens historie«. Usant Solidarność' vir-



ke, ville denne forvarmekanisme være trådt i kraft.

Dette har også forbindelse med den anden påstand om, at »Jaruzelski kup afvandede det, der var værre« underforstået — sovjetisk invasion.

Sovjetunionens ansvar for indførelsen af krigsretstilstanden i Polen er utvetydigt.

Allerede på selve dagen for underskrivelsen af Gdansk-af-talen brugte TASS en artikel af A. Petrov. I denne artikel beskyldte de sovjetiske aviser for at forlignende kontrarevolutionære mål og for at stå i ledning med USA, højrekræfter i Vestvokland samt polske emigranter.

I december 1980 samledes Warszawa-gruppen ledere til et ekstradineret i Moskva, hvor man bl.a. drøftede situationen i Polen. Den sovjetiske delegation bestod af stats- og partichef Breznev, ministerpræsident Tikhonov, KGB-chef Andrejev, forvarerminister Ustinov, udenrigsminister Gromyko, chefideolog Suslov og centralkomiteetssekretær Suslov. Disse personer udgjorde frem til udgangen af 1981 det team, der var ansvarlig for den sovjetiske krigsretstilstand over for Polen. Efter Suslovs død blev han erstattet af indenfor end Tjernomko.

All tyder på, at de østtyske ledere stillet af cirkoslovaerke præsente på for en velbet ledgriben i Polen.

Efter mødet skete der polske vedvarende styrkers dagligt »voldens Wolności« (Frihedens Soldat), at den polske ledelse ville være i stand til at løse Polens problemer.

Krigsretstilstanden var ved at blive sat i løse.

Argumenter for en »polak ledning« i stedet for invasion var Vestens reaktion (håde USA og de vesteuropæiske lande har advaret mod invasion), den mulige reaktion i Polen (muligheden for væbnet modstand), Sovjetunionens engagement i Afghanistan samt uklarhed angående Kinas reaktion.

Britkerne i det store guleoptog begyndte at falde på plads.

De sovjetiske aviser var ved deres omtale af Polen holdt op med at kritisere den polske ledelse. I februar 1981 overtog Jaruzelski ministerpræsidentposten og samtidig beholdt han posten som forvarerminister. I juli blev yderligere tre generaler optaget i regeringen. Czesław Piotrowski blev udnævnt til energi- og mine-minister, Czesław Kiszczak til indenrigsminister og Tadeusz Hołujowski til minister for regionale anliggender. Hermed havde de væbnede styrker overtaget kontrollen med de ministerier, der var centrale i tilfælde af en krigsretstilstand.

Allerede den 18. september kom det i tale af politibureau-medlem Albin Siwak frem, at der var oprettet en komité til nationalt Frihed under ledelse af Jaruzelski og Kiszczak i oktober gik partierne Kania af, og det på trods af, at han blev valgt til denne post af partikonferencen for kun tre måneder siden. Dette skete for at give plads til Jaruzelski, der nu i sin person forenede posterne som partileder, regeringschef og for-

svareminister.

Den 28. oktober besluttede den polske regering at udsende de såkaldte militære operative grupper til ca. 3000 landsbyer. Alle brikker var faldet på plads. De militære aviser i og omkring Polen var kun en afledningsmanøvre, hvis formål var at trække opmærksomheden bort fra det, der var under forberedelse.

Man må konkludere, at der blandt de sovjetiske ledere var en bred enighed om, at man ikke kunne leve med et Polen med frie masseorganisations- og afhængige masseorganisations og afhængige masseorganisations argumenter var ikke den mest hensigtsmæssige løsning. Netop deres politik og som kunne stå som et eksempel for Østeuropas og muligvis for Sovjetunionen selv.

Invasionen på grund af ovennævnte argumenter var ikke den mest hensigtsmæssige løsning. Netop deres politik og som kunne stå som et eksempel for Østeuropas og muligvis for Sovjetunionen selv.

I morgen på tre årsdagen for indførelsen af krigsretstilstanden i Polen er det af største vigtighed, ikke mindst af betydning til det polske folks fortsatte modstand mod Jaruzelski regimet, at der også i den danske offentlighed markeres en fortsat støtte til den frie og uafhængige fagforening Solidarność og afstandtagen af de tilstandsvilkår af de faglige selv som menneskelige rettigheder, der foregår i Polen i dag.

3

Kronikredaktion: Arne Thing

KOMITÉEN „STØT SOLIDARNOŚĆ”

Natten mellem den 12. og 13. december 1981 rykkede politi og militær i gaderne overalt i Polen, og der blev indført krigsretstilstand. Den polske kommunist-leder, general Jaruzelski havde på polsk tv meddelt, at Solidarność bevægelsen, der blev anerkendt året før, nu var forbudt – og de aktive skulle fængsles eller på anden måde interneres. Sovjetunionen havde cirka 200.000 soldater i Polen dengang, som også blev aktiveret i de mørke december dage.

Allerede nogle få dage efter krigsretstilstanden blev indført, havde polakker i Danmark dannet en støttekomite til fordel for den polske modstandskamp. En af dem der var i front i den kamp, var Roman Smigielski. Han står også bag en ny udgivelse om den tid med titlen; Komiteen Støt Solidarność, hvor han fortæller om oplevelserne, glæderne og sorgerne fra dengang.

Komiteen blev formelt stiftet i januar 1982, og havde til formål at støtte den polske frihedskamp, gøre opmærksom på den i Danmark samt at hjælpe flygtninge fra Polen videre. Men det var ikke nogen nem

start komiteen havde i Danmark. Ligesom alle andre steder i verden var kommunister sat i beredskab, for at ødelægge og miskreditere den polske frihedskamp, da den var et opgør mod det kommunistiske Sovjetunionen. Derfor blev det en kompliceret opstart. Medlemmer af de danske politiske partier; SF, VS (Venstre Socialisterne), SAP (Socialistisk Arbejderparti) og KAP (Kommunistisk Arbejder Parti) forsøgte at tage kontrollen med komiteen, og flere af dem ville bruge den polske frihedskamp til angreb på USA. F.eks. med forslag til slogans som: *Nej til Jaruzelski og Reagan.*

Men det blev de polske frihedselskende medlemmer trætte af, og i 1982 blev de kommunistiske kræfter smidt ud af, og dannede i stedet deres egen komite; Solidaritet med Solidarność. Den fik en kort levetid, men polakkerne i Danmark fortsatte kampen til støtte for deres landsmænd i Polen uden de danske venstreorienterede politikere og i den oprindelige forening.

Arbejdere og andre danskere og polakker der ville støtte Solidarność, bad om anonymitet, af frygt fra repressalier fra deres fagforening. Flere større fagforbund i Danmark var dengang ledet af kommunister.

Komiteen endte med at have tre paroler, som samlede deltagerne: Løsladelse af de politiske fanger, ophævelse af krigsretstilstanden og lovliggørelse af Solidarność i Polen, som det blev aftalt i Gdansk den 31. august 1980, efter verdens mest berømte strejke på Lenin-skibsværftet.

Komiteen havde sit kontor på H. C. Ørstedesvej på Frederiksberg. Komiteen fortsatte sit arbejde frem til sommeren 1989, hvor Solidarność vandt det første delvise frie valg i Østblokken – måneder fra Berlin murens fald den 9. november.

Udgivelsen om Solidarność i Danmark giver et godt og hurtigt overblik på den polske frihedskamp i Danmark fra 1981 til 1989, og skrevet af en der var med hele vejen; Roman Smigielski. Den er oprindeligt skrevet på polsk, og oversat af Bent Christensen til dansk.

36 sider/ISBN 978-87-972164-0-8.

Den kan bestilles her: <http://smigielski.dk/bogen.html>

polennu.dk





29 grudnia 2020 w Kopenhadze zmarł WIKTOR DRUKIER (6 marca 1949–29 grudnia 2020).

Rzecznik prasowy komitetu „Stoł Solidarność”. Dla wielu z nas przyjaciel i do ostatnich dni towarzyszył staraniom o Polskę wolną, demokratyczną, praworządną, o Polskę ludzi otwartych, „w której wszyscy czują się dobrze”.

Dwukrotnie odznaczony (1995 i 2010) za wspieranie opozycji demokratycznej oraz przemian demokratycznych w Polsce.

Żegnaj Witku!



DZIECIŃSTWO NA FIONII

wspomnienia Carla Nielsena



Wchwili, gdy w 1883 roku 18-letni Carl, syn Nielsa, wiejskiego grajka z wyspy Fionii, przepływał Wielki Belt udając się do stolicy państwa, Kopenhagi, powiełał tym samym wzorzec wpisany w duńską świadomość narodową, a mianowicie podróż innego syna Fionii, Hansa Christiana Andersena. Z dołów, z prowincjonalnej biedoty, droga ta wiodła ku światu, ku sławie. Carl August Nielsen uznany za najwybitniejszego duńskiego kompozytora, był w pełni świadomy andersenowskiego mitu. Przypomniała mu go również matka, kiedy odwiedziła go w Odense, gdzie młody Nielsen był muzykiem wojskowym.

W 1927 roku Nielsen wydał swe wspomnienia z dzieciństwa („Dzieciństwo na Fionii”), publikacja ta pozwoliła na wpisanie Nielsena na listę związku literatów duńskich. Możemy tu przeczytać następujący fragment:

„Jak jej wszystko opowiedziałem, to powiedziała, że zawsze muszę w życiu dążyć do tego, by dać z siebie to, co najlepsze, że mam być pracowity i mam myśleć tylko o tym, by być zdolnym, i powiedziała coś jeszcze o Hansie Christianie Andersenie, który był tak samo biedny, jak ja, a i o tym, że w kiedyś w Brændekilde (wioska na Fionii) żył pewien ubogi chłopiec, który nauczył się dwudziestu języków i został sławny na całym świecie. Matka rozmawiała ze mną długo o różnych sprawach i dawała mi rady,

jak mam się urządzić, gdy przyjadę do Kopenhagi. Zakończyła mówiąc: »Wierzę w to, że potrafisz«”.

Drugi ze wspomnianych przez matkę Nielsena „syn Fionii”, to filolog Rasmus Rask, syn wiejskiego krawca, późniejszy profesor uniwersytetu w Kopenhadze, pierwszy badacz języka islandzkiego.

Urodzony 9. czerwca 1865 roku w Nørre Lyndelse na Fionii jako siódme z dwunastu dziecko, w ubogiej wiejskiej rodzinie, pracujący zarobkowo od najmłodszych lat, Carl Nielsen wspomina swoje dzieciństwo jako bardzo szczęśliwe. Wspomnienia powstały w 1927 roku, za namową lekarza, który w ten sposób chciał zmusić Nielsena do porzucenia stresującego bytu sławnego kompozytora, dyrygenta i osobowości kulturalnej kraju, i choć na chwilę zająć się czymś innym. Nielsen zaczął bowiem poważnie chorować na serce, zmarł również wkrótce, w 1931 roku. Jednym z „odstresowujących zajęć” były robótki na drutach (Nielsen ograniczał się do produkowania małych ręczniczków), drugą było pisanie wspomnień, większość z nich powstała podczas relaksujących podróży na Południe, niektóre fragmenty były dyktowane towarzysze tych podróży, teściowej córki Nielsena, pani Møller.

Wspomnienia Nielsena czytałam wielokrotnie, zawsze mnie fascynowały, nie tylko dając wgląd w podłoże psychiki kompozytora, ale będąc obrazem Danii tamtych czasów, obrazem tak różnym

od polskich stereotypów. Tak więc podczas dwumiesięcznej przerwy w pracy (z powodu pandemii), postanowiłam zrobić coś, na co zwykle nie mam czasu – przetłumaczyłam wspomnienia Nielsena na polski. Zaczęłam w ten dzień, kiedy ogłoszono „zamknięcie” kraju, skończyłam dzień przed powrotem do pracy.

Wspomnienia Nielsena obejmują jego dzieciństwo, młodość, aż do momentu wyjazdu do Kopenhagi by rozpocząć studia w konserwatorium. Nie są pisane ściśle chronologicznie, raczej tematycznie. W jednym rozdziale możemy zobaczyć jak wyglądała praca dzieci w cegielni, w innym, jakie przeżycia i myśli towarzyszyły małemu Nielsenowi, kiedy pilnował gęsi, pasł krowy, a później towarzyszył ojcu i jego „zespołowi” w graniu na wiejskich weselach. Niewiele jest wspomnień poświęconych całkowicie muzyce, ta jest tu jednak wszechobecna. Sposób odbierania wrażeń, sposób konstruowania opowiadań, jest na wskroś „muzyczny”.

Już poprzednio, czytając te wspomnienia, fascynował mnie styl pisania Nielsena, to szczególne połączenia powagi, tragedii i humoru – jak i doskonałe wyważenie efektów poszczególnych scen. Fenomenalne są również opisy ludzi przez Nielsena, których spotykał – potrafi on w kilku słowach oddać charakter każdego z opisanych bohaterów. Jak już wspomniałam, niewiele jest tu czysto muzycznych fragmentów, niektóre z nich chciałabym jednak tu przytoczyć.

W pierwszym fragmencie Nielsen jest jeszcze bardzo małym chłopcem, przed pójściem do szkoły. Rodzina mieszka w domku na środku pól, a cała okolica przynależy do dużego majątku Bramstrup, gdzie mieszka „dziedzic”, pan Langkilde:

“Właściciel majątku, radca Langkilde, był bardzo przyjaznym człowiekiem. Często chodził pieszo po swych włościach i zawsze miał dla każdego jakieś dobre słowo. Któregoś dnia przechodził obok naszego domu. Mama była przed domem i wieszała pranie. Pan Langkilde przystanął i zaczął z nią rozmawiać. Stałem nieopodal przy ułożonych deskach, na którym ćwiczyłem granie różnych melodii. Razem z bratem odkryliśmy bowiem, że różne kawał-



ki drewna wydawały różne dźwięki, i zaznaczyliśmy kredą na końcówkach, jakie dźwięki to były i teraz mogliśmy, uderzając młotkiem po drewnie, wygrywać różne melodie. Pan Langkilde przerwał rozmowę i zapytał: „A to co?! – „*To moi chłopcy grają na deskach*”. Podszedł wtedy do mnie i zachęcił mnie, żebym grał dalej. Bawiło go to, jak widział mnie biegnącego i podskakującego w górę, by uderzać we właściwe tony we właściwym rytmie. /.../ Radca Langkilde powiedział: „*naprawdę zdolny z ciebie chłopiec*” i chwycił mnie dwoma palcami za nos. Ponieważ matka już dawno mnie nauczyła, że wtedy trzeba wydmuchać, więc zrobiłem to, czego mnie uczono; nie wiem z jakim

rezultatem, ale starszy pan zaśmiał się serdecznie i powiedział coś pochlebnego o zdolnościach wychowawczych mojej matki. “ Już po wydaniu wspomnień córka Nielsena, Anne Marie Telmányi, zilustrowała niektóre fragmenty książki, między innymi scenę „grania na deskach”.

Następny fragment dotyczy pierwszych prób gry na skrzypcach:

„Kiedy miałem około sześciu lat zachorowałem na odrę. Ojciec był wtedy długo poza domem, pewnie nudziłem się na dobre w łóżku, bo mama dała mi małe skrzypceczki, trzy czwarte wielkości, które wisiały na ścianie. Powiedziała, że mógłbym spróbować na nich pograć. Kiedy skończyła najcięższą robotę, siadała w pobliżu łóżka łąając ubranie i śpiewała mi różne melodie, które miałem odegrać na skrzypcach. Miała niezbyt silny, ale czysty głos i kiedy fałszowałem, mówiła: „*Nie, słuchaj porządnie*” i próbowaliśmy na nowo. /.../ Matka miała dobry słuch i była pewna melodii, i do momentu powrotu ojca nauczyłem się grać kilka melodii. Kiedy zagrałem je ojcu, to nie powiedział ani słowa, tylko nastroił skrzypce i oddał mi je na nowo”.

W kolejnym fragmencie Nielsen opisuje wrażenie, jakiego doznał, widząc pierwszy raz pianino. Razem z matką poszli pewnego dnia do Odense (oddalonego od domu o około 10 km), by załatwić jakieś sprawy i odwiedzić dwóch wujków, z których jeden,

przyrodni brat matki, był niewidomy i sprawował urząd organisty w pobliskiej miejscowości:

„Wujek ucieszył się z naszej wizyty, no ale mieliśmy dla niego z pół kielbasy oraz ze cztery-pięć jajek. Wtedy nadszedł dla mnie ten wielki moment! Wujek Hans podszedł do pianina, otworzył je i powiedział, że mogę sobie na nim pobrzękać. Było to zwykłe pianino z mahoni, nie ma jednak sensu bym opisywał, jakie uczucie ogarnęło mną, jak dotykałem klawiszy i powoli znajdowałem melodie grając jednym lub dwoma palcami. Spróbuję za to opisać, co teraz myślę na ten temat, co mogło leżeć u podstaw tego niezapomnianego zachwyty, jaki czułem podczas odkrywania tajemnic tego rzędu klawiszy, który miałem przed sobą. Słuchałem już wcześniej muzyki, słyszałem ojca, grającego na skrzypcach albo na kornecie, słyszałem mamę, kiedy śpiewała, i próbowałem już, wtedy kiedy leżałem chory w łóżku, grać na małych skrzypcach. Ale to było coś zupełnie innego. Tutaj leżały dźwięki przede mną w długim, lśniąącym szeregu. Nie tylko mogłem je słyszeć, mogłem je również widzieć i raz za razem czyniłem nowe odkrycia. Przede wszystkim to, że niskie dźwięki położone były na lewo, a wysokie przeciwnie, na prawo. Nie mogłem jednak pojąć, jaką rolę miały te czarne pionki, i dopiero, kiedy się pomyliłem w pewnej melodii, w której było „fis” zamiast „f”, odkryłem, że wszystko ma sens i czarne klawisze też coś znaczą. Na skrzypcach trzeba znaleźć dźwięki na strunach, a na rogu albo trąbce wargi muszą uformować wysokość dźwięku, nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć, gdzie



dźwięk leży, co wargi mają robić, ani ile powietrza potrzeba, by wydobyć właściwy dźwięk. A tutaj było wszystko jasne i zrozumiałe, i chyba to mnie najbardziej cieszyło. Nie pamiętam, czy grałem jakieś akordy, trójdzźwięki, lecz używając jednego palca obu rąk grałem całe szeregi słodkich terc, a podczas gdy moje palce poruszały się równolegle, myślałem: *dwa drozdy siedzą na gałązce buku.*”

Przytoczę jeszcze jeden fragment wspomnień, bo są dla mnie szczególnie cenne, jako że opisują pewnego nauczyciela, do którego obowiązków należało granie i śpiewanie w kościele podczas niedzielnych nabożeństw.

„Każdej niedzieli w kościele potrafił wprowadzić w zdumienie każdego, kto miał najslab-





sze nawet muzyczne zdolności. Biedny człowiek był zupełnie niemuzyczny, aż przykro było patrzeć, i aż dziwne było, że ten skądinąd zdolny człowiek, nie został zwolniony od obowiązku zajmowania się czymś, czego natura całkowicie mu odmówiła. Niestety, do jego obowiązków należało granie i śpiewanie w kościele, tak że mordował się okrutnie na organach i próbował również śpiewać, nikt nie zaprzeczył, że robił, co mógł. To było okropne!

Nie był w stanie rozróżnić ani dźwięków ani akordów, chyba, że wgapił się w klawisze i w swoje palce, a i tak się zdarzało, że lewa i prawa ręka grały każda w swej tonacji. Jak to postrzegał, to momentalnie stawał. Gdyby tylko pozwolił kongregacji, która – mimo wszystko – jako tako dawała sobie radę na własną rękę, śpiewać dalej, to jeszcze byłoby pół biedy, ale niestety, zaczynał z całą mocą od początku, aż wszyscy doznawali szoku, jak statek, wpadający na molo. /.../ W psalmie podczas komunii nie grał na organach, wtedy zaczynał melodię w bardzo niskim rejestrze, tak że nie było się w stanie rozstrzygnąć, jaki to dźwięk. /.../ W pewnym momencie robił taki melodyczny skok, że kończyliśmy na bardzo wysokim dźwięku. Gdyby był wrócił do toniki, to nie byłoby to zupełnie złe, ale fizycznie możliwe; niestety, szedł dalej po kole kwintowym, i po trzech, czterech zwrotkach lądowaliśmy bardzo wysoko, jakies

dziesięć, dwanaście tonów wyżej, tak że nie można było kontynuować. Wtedy marszczył brwi, robił pauzę, przelykał coś, tak, że widzieliśmy jabłko Adama w ruchu, i znowu zaczynał na najniższym dźwięku, jaki mógł wydobyć. Nikt nie mógł zrozumieć, jak mógł tak niezręcznie obchodzić się z tą bardzo prostą melodią. /.../ Miał bardzo przeszywający głos, jak dzikie zwierzę przed karmieniem, a ponieważ był spokojnym, poważnym i trochę powściągliwym człowiekiem, to te nagłe głośnie wrzaski – kiedy zaczynał śpiewać psalm – były przerażające. Mimo to – on też miał swoich wielbicieli i tych, co go podziwiali, jako śpiewaka i artystę; część chłopów, zwłaszcza kobiet, uważało, że: „ten głos, to słycać aż za dziesiątą miedzą”.

Wspomnienia Nielsena są również bardzo bogate w opisy przyrody wyspy Fionii, którą często nazywa się „sadem Danii”. Miłość do rodzinnych stron nie opuszczała Nielsena przez całe życie. „Na Fionii jest wszystko inne” – powtarzał bardzo często. W 1921 roku rozpisano konkurs na tekst kantaty, opiewającej urodę duńskiego krajobrazu, lub historię kraju. Konkurs wygrał Aage Berntsen, pochodzący z Fionii, Carlowi Nielsenowi powierzono skomponowanie muzyki. Tak powstała kantata „Wiosna na Fionii” (*Fynsk Forår*) prawykonała w 1922 roku, przy udziale około 500 członków chórów amatorskich z całego kraju. Kantata jest kwintesencją „narodowego” Nielsena, jest to muzyka lekka, zgrabna i wpadająca w ucho. Bardzo różna od Nielsena-symfonia. Ale o tym napiszę innym razem.

Eva Maria Jensen



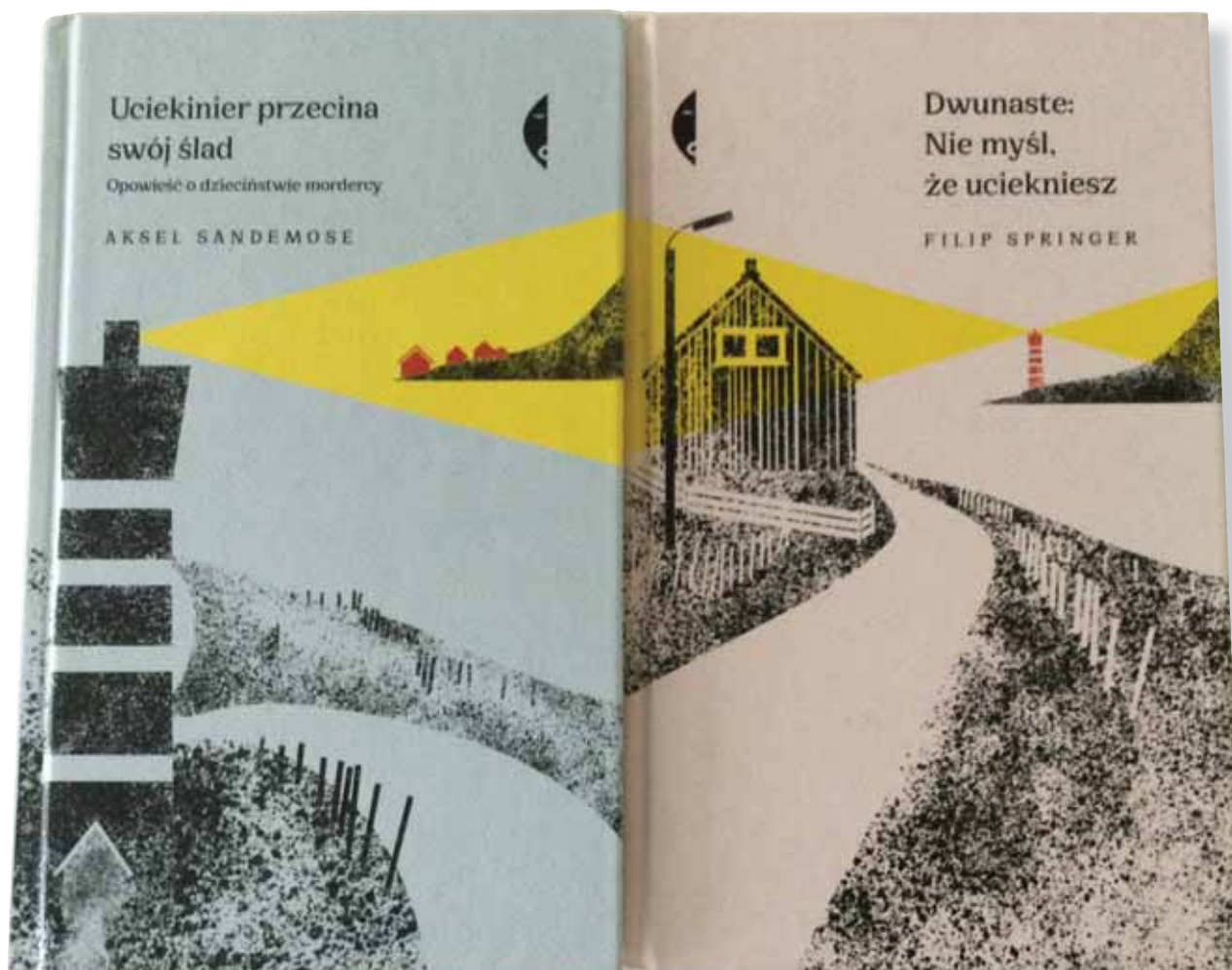
TRZEWIA JĘZYKA

Lódź dzieli od Kopenhagi około 900 kilometrów, setki tysięcy przymków, partykuł, zaimków, niewiele mniej podmiotów i orzeczeń oraz oczywiście zdań prostych i podrzędnie złożonych. Trudno zliczyć, ile słów zmieściłoby się między miastami, gdyby rozwinąć między nimi szpulę zapisaną ręką emigranta – wszystko zależałoby od tego, jaka to ręka. Trudno zliczyć, ile zdań wypowiedziałby tułacz-podróżnik startując z Łodzi Fabrycznej zanim dotarłby do malutkiej wyspy Amager – wszystko zależałoby od krzepkości marszu.

Gdy wybierałam się w drogę, nie sprawdziłam żadnej z powyższych możliwości. Spakowałam plecak

i część potrzebnych do przeżycia wspomnień i tak wyruszyłam, ja i trójka moich towarzyszy. Nie przesadzałam z bagażem, bo przecież nie wyjeżdżałam na zawsze i nie wyjeżdżałam daleko. Poza tym granice mojego świata były i nadal są otwarte, mogłam i nadal mogę wrócić w każdym momencie. Jednak jak się okazało, nie o powroty w tej całej podróży chodzi, nie o powroty.

Dla kogoś takiego jak ja, zanurzonego w języku, pracującego albo na żywej jego tkance (której wytrzymałość testuję w „produkcjach” literackich), albo na martwej tkance archiwaliów (którą ożywiam w arcyważnych artykułach naukowych), język



ojczysty jest jedyną możliwą do pomyślenia formą komunikacji, bo najmniej ułomną i najbliższą trze-
wiom. Ale by choć w części to zrozumieć, trzeba było
dwóch lat spędzonych w zatoce kupców i kilku cał-
kiem (nie)przypadkowych spotkań z ludźmi, dzięki
którym Kopenhaga, a szczególnie malutka wyspa
Amager, wyznaczyły wspólny horyzont językowy
– ten sam zestaw lektur, literackich cytatów, aluzji
i podszeptów.

Niektórzy z rozmówców stali się częstymi gośćmi
w moim domu, innych spotkałam tylko raz, jesz-
cze inni są tylko i aż listami zapisanymi na mojej
skrzynce pocztowej. Gdyby wpuścić między te nasze
pierwsze rozmowy jakiegoś dociekliwego bada-
cza wprawnego w analizie zachowań językowych,
z pewnością dostrzegłby nieubłaganą prawidłowość
w tych naszych niezgrabnych formułach powital-
nych, niepewnych zagajeniach i całej tej introdukcji
niezbędnej do zaistnienia kolejnych części dialogu.
Dostrzegłby, że z na pierwszy ogień idą tylko dwa –
„skąd jesteście” i „kim jesteście”. Odpowiedzi padają
szybko, krótką serią, bo oba pytania zostają odarte
z ich metafizycznego wymiaru, który w ogóle nie
interesuje rozmówców, przynajmniej nie przy pierw-
szym spotkaniu; tak jak nie interesuje ich to, „dokąd
zmierzamy” – ważne jest przecież, że się w ogóle
znaleźliśmy, na jednej z czterystu czterdziestu trzech
wysp to wcale nie takie proste.

Z dwuletniego pobytu na wyspie zapamiętam
pierwsze spotkania z Leną Preis i Anną Sikorską,
spotkania, które okazały się być początkiem wielu
kolejnych. Lena, jak część z poznanych tu rodaków,
kilkadziesiąt lat wstecz opuściła miasto czterech kul-
tur – „wszyscy jesteście z Łodzi”, powiedziała i mimo
że nie jestem przecież czystej krwi łodzianką (wych-
wały mnie bowiem ziemie odzyskane), z pewnym
spokojem przystałam na tę deklarację. Z biegiem
dni zdawałam sobie coraz bardziej sprawę z trafności
tego umownego stwierdzenia.

Z dwuletniego pobytu na wyspie zapamiętam
kilka zdań wymienionych między Lund a Lwowem
z dziennikarzem, Grzegorzem Gaudenem oraz mię-
dzy Paryżem a Houston z poetą, Adamem Zagajew-
skim. Przyjechali do obcego mi jeszcze miasta, a jed-
nak w pewnym sensie przyjechali do nas (do mnie).
Niestety na spotkanie z poetą przyszedł na czas
i trzeba było usiąść w pierwszym rzędzie jednej z sal
ambasady – tortura introwertyka...

Z dwuletniego pobytu na wyspie zapamiętam
krótkie wiadomości tekstowe wymienione z muzy-
kiem, Czesławem Mozilem i te dłuższe, z tłumaczką
Elżbietą Wójcik-Leese i dziennikarzem Aleksan-
drem Milchtach Sławem Zapamiętam pole golfowe
na Amager, punkt startowy spacerów z Agnieszką

Nowińską (z którą nigdyśmy na owe pole nie wtar-
gnęły; a była ochota, była...).

Z dwuletniego pobytu na wyspie zapamiętam całą
Danię na talerzu u Moniki Grochocińskiej i Ewy
Bylińskiej oraz serdeczność Haliny Dudzicz, Moniki
Norf i Margarety Jakobsen. Czekam na koniec pan-
demii, by z Krystyną Elleuhage porozmawiać o tym,
kim (czym) jest „amagerkaner”, a z Romanem Śmi-
gielskim pogadać o drugim obiegu.

Niektóre z tych spotkań z pewnością powtórzę,
do innych nie ma potrzeby wracać (powiedzieli-
śmy sobie już wszystko), niektóre miały niestety
wymiar ostateczny. Gdybym tylko wiedziała, że
moja pierwsza wizyta u Wiktora Drukiera będzie
ostatnią, posiedziałabym dłużej, wypija kolejną her-
batę, a mój syn dokończyłby rozłożoną na drewnia-
nej podłodze kolorowanek. Ale trzeba było wyjść,
zapadał mrok...

Mój ostatni list do Wiktora pozostaje bez odpo-
wiedzi... mieliśmy rozmawiać o książkach, które
w tym nieszczęsnym pandemicznym roku zapadły
nam w pamięć. Myślę, że jednym z takich tytułów
były dla Wiktora *Rozmowy z dziećmi Holocaustu*, bo
przecież to właśnie z ich autorką, Patrycją Dołowy,
mieliśmy się wkrótce spotkać. Niech zatem *Wróć,
gdy będziesz spała. Rozmowy z dziećmi Holocaustu*
otworzą listę książek, które zostawiły w spotkanych
na wyspie rozmówcach jakiś ślad.

Wszystkim Wam dziękuję serdecznie! Takie roz-
mowy sprawiają, że znowu mam świat w zasięgu
języka.

Adam Zagajewski, poeta

W ostatnich miesiącach minionego roku (2020)
sporo uwagi poświęciłem pismom Leszka Kołakow-
skiego – zachętą była biografia filozofa autorstwa
Zbigniewa Mentzla. Pomyślałem, że tak jak wielkim
artystą filmu ostatnich siedemdziesięciu paru lat był
Andrzej Wajda, tak samo filozofem, komentatorem
– niekiedy prowokatorem, niekiedy czułym anality-
kiem polskich spraw był Leszek Kołakowski; spraw
polskich, ale przecież najbardziej pasjonowała go
metafizyka, nieznaną narodowości.

Agnieszka Nowińska, miłośniczka literatury i badaczka z Uniwersytetu w Aalborgu

Moja lista 2020 r. wygląda następująco. Z tytułów
polskich wymienię dwa: Anna Cima i jej książka
Obudzę się na Shibui – za piękną pudełkową kon-
strukcją, która pozwala podróżować w czasie i mię-
dzy kontynentami i zachłystywać się pięknem języka/
języków (brawo tłumacz – Krzysztof Wołosiuk!) oraz
27 śmierci Toby'ego Obeda Joanny Gierak-Onoszko,
relacja z kanadyjskiego pojednania i przypomnienie,



do jakich nieludzkich zbrodni może dopuścić się wobec drugiego, bezbronnego (małego) człowieka inny człowiek, gdy instytucjonalizuje się zło i zapomina o empatii. Z tytułów duńskich zachwycała mnie Naja Marie Aidt i jej zbiór opowiadań *Bavian*; cenię tę pozycję za skondensowanie ekstremalnych literackich doznań i eksplorację także ekstremalnych tematów w krótkich formach, które na długo zostają w głowie.

Aleksander Milchtach Slaw, dziennikarz

Tak się w 2020 złożyło, że większość książek, które trafiły w moje ręce, była po polsku. Dotyczy to także książek nienapisanych przez polskich autorów. Jedną z nich jest książka izraelskiego naukowca Yuvala Noah Harariego zatytułowana *Sapiens: Od zwierząt do bogów*. Jest to błyskotliwa i pełna erudycji opowieść o rozwoju ludzkiej cywilizacji widzianej z lotu ptaka. Zasadniczą tezę tej książki jest twierdzenie, że

nieodzownym motorem naszego rozwoju było tworzenie wspólnych mitów, które jednoczyły ludzi do wspólnego działania. Bez istnienia tych mitów ludzkość nigdy nie osiągnęłaby stadium rozwoju kulturowego i technologicznego pozwalającego człowiekowi sięgać po status Boga.

Natomiast polską książką, która zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, była książka *Lwów – kres iluzji: Opowieść o pogromie listopadowym 1918* autorstwa Grzegorza Gaudena. Jest to fascynująco napisana historia dokonanego przez armię polską i polskie mieszczaństwo lwowskie pogromu na Żydach lwowskich, który odbył się niemalże jako pierwszy akt odrodzenia wolnej Polski. W pogromie zamordowano ponad 70 osób żydowskiego pochodzenia, kilkaset osób pobito i poraniono, a niemalże wszystkich obrabowano. Liczba zamordowanych jest prawie taka sama jak liczba Żydów zamordowanych w czasie Nocy Kryształowej w całych Niemczech w 1938 roku. Książka jest fascynująca, bo obejmuje historię samych wydarzeń i sytuacji społeczno-politycznej na tych terenach, jak i na całym obszarze tworzącej się Polski. Pokazuje przy tym także bezmiar antysemityzmu wśród ludności, polityków i w armii polskiej, historię prób fałszowania faktów, jak również tego, kto był sprawcą pogromu, jednocześnie opisując kto, dlaczego i w jaki sposób spowodował, że pogrom nie istnieje w oficjalnej historii Polski. Książka nie jest chronologią pogromu, lecz jest, jak autor sam ją nazwał, opowieścią o pogromie. Opowieścią, która podparta materiałami dowodowymi, potrafi oddać groźbę tamtych dni i zachować historyczną autentyczność. Gauden nie stara się udawać naukowego obiektywizmu, wręcz przeciwnie – nie ukrywa swojego oburzenia i potępienia wydarzeń i ich sprawców, jak również faktu, że wydarzenia te zostały wymazane z historii Polski. Dla mnie był to kolejny dowód na to, jak bardzo zmanipulowana i zakłamana jest historia Polski, jak bardzo my wszyscy, którzy chodziliśmy do szkół w Polsce, mamy wyprane mózgi, bo jacyś władcy Polski chcieli sobie zapewnić takie a nie inne poglądy i reakcje społeczeństwa na ich działania. Na koniec, jak ważne jest to, żeby nie ulegać tak zwanym „obrońcom dobrego imienia” – dzisiaj znowu szalejącym po Polsce.

Ewa Bylińska, podróżniczka

Książka, która od lat mi towarzyszy i która pozwoiliła mi spotkać się z genialną twórczością Olgi Tokarczuk, to *Bieguni*. Książka została zakupiona w maleńkiej księgarni polskiej w centrum Wiednia. Otrzymałam ją w prezencie od mojego austriackiego przyjaciela i chociaż on sam nie mówił i nie czytał po polsku – wybrać lepiej nie mógł.

Drugą pozycją, którą nieustannie czytam, jest wydany w 1981 r. poetycki *Alfabet* duńskiej pisarki Inger Christensen, przetłumaczony na język polski przez Bogusławę Sochańską. Czytając *Alfabet* po duńsku nie mogłam sobie wyobrazić, że „da się!” tę duńską poezję przetłumaczyć. Zmieniłam zdanie po przeczytaniu przekładu – z arcydzieła duńskiego powstało arcydzieło polskie, w którym samo tłumaczenie stało się arcydziełem.

Moja duńska koleżanka, Mikie Breum z De Brestesklub (Klubu Podróżników) wydała w tym roku książkę o podróżach, *Lynkinesere og søde Asier – en rejse tværs gennem Asien*. Mikie Breum spędza życie na podróżach – w spartańskich warunkach przemierza najciekawsze zakątki świata; opisuje w niezwykle szczery sposób swoje wrażenia ze spotkań z ludźmi, z kulturą, przyrodą i obyczajami poszczególnych krajów. Dzięki tej książce ponownie w tym roku przemierzałam wszystkie te miejsca, które kiedyś z ciętym zachwytem odkrywałam w swoich podróżach. Cieszyłam się za każdym razem, że w tych peregrinacjach Mikie nie przeoczyła niczego, czym ja byłam zauroczona.

Halina Dudzicz, mama

Jednym tchem przeczytałam *Śladami Tamary Łempickiej* Tatiany de Rosnay. Latem zajrzałam też do *Hvad er et menneske* Svenda Brinkmanna; w listopadzie ukazało się polskie wydanie pod tytułem (niestety) zmienionym – duński tytuł *Kim jest człowiek?* w polskim przekładzie brzmi – *Jak być człowiekiem?*

Krystyna Ellehaug, anglistka

Z książek duńskich polecam Kirsten Thorup *Indtil vanvid, indtil døden*. W roku 1942 Harriet Bertram, wdowa po zestrzelonym na froncie wschodnim lotniku, udaje się w podróż z Danii do Monachium. Droga przez wojenne Niemcy i pobyt u zaprzyjaźnionej duńsko-niemieckiej rodziny przerażają się w wyprawę do „jądra ciemności” – proces uświadamiania sobie, jak obłądana ideologia, praktykowana w życiu codziennym, nieuchronnie prowadzi do rozpadu więzów rodzinnych, erozji przyjaźni, płynności granic tolerancji wobec siebie i innych, odczłowieczania tych, którzy są od nas uzależnieni.

Z tytułów polskich polecam Filipa Springera *Dwunaste: Nie myśl, że uciekniesz*. Fikcyjne Jante to ważna miejscowość na tożsamościowej mapie Duńczyków, a obowiązujące tam prawo skodyfikował literacko Aksel Sandemose w powieści *Uciekinier przecina swój ślad*. Jedenaście przykazań tego kodeksu to, najogólniej, manifest antyindywidualizmu. Prawo

Jante jest w kulturze skandynawskiej stereotypem negatywnym, który reporterska wyprawa Filipa Springera śladami twórcy pojęcia i bohaterów jego powieści wydaje się w pełni potwierdzać. W ujęciu pozytywnym niwelowanie różnic to zasada życia we wspólnocie oraz źródło skandynawskiego egalitaryzmu i solidarności społecznej. Dezaprobata zaś dla postaw skrajnych wydaje się być całkiem skuteczną szczepionką na ekstremizmy wszelkiej maści. Taka, być może, jest druga strona medalu prawa Jante. Nie jest nią natomiast sławetne „hygge”, często przywoływane w omówieniach polskiej książki o Danii *Dwunaste: Nie myśl, że uciekniesz*.

Lena Preis, czytelniczka

Książka Twardocha *Król* to nieprzyjemna lektura. Nieprzyjemna, a jednocześnie nie do odstawienia. Jak ból zęba, który ciągle prowokujemy dotykając językiem. Brutalna opowieść o Żydzie, który nie godząc się na rolę prześladowanego, sam staje się prześladowcą. Jest to też opowieść o mieście, które jak żywy organizm, karmi się swoimi mieszkańcami.

Wspominam też dobrze duńskie tłumaczenie książki Gregora von Rezzori *Blomster i sneen. Portrætstudier til en selvbiografi*. Rezzori opisuje swoją arystokratyczną rodzinę na tle upadającego porządku w Centralnej Europie. Poza fantastyczną analizą tego okresu historycznego, książka wyróżnia się wspaniałą narracją. W opisie postaci rodzinnych jest wiele ironii, humoru ale i tęsknoty za „mijającym czasem”. Atutem książki jest język jednocześnie elegancki i intensywny, wręcz „gęsty”, porywający jak nurt rwącej rzeki.

Maria Pawlikowska, kocha Danię i koty (także duńskie)

Polska książka to zdecydowanie *Dwunaste: Nie myśl, że uciekniesz* Filipa Springera, jako że książka opowiada o... Danii i poczuciu pustki, jaką w sobie zostawia próba wejścia między Duńczyków. Fakt, że książka nie jest reportażem, a próbą łączenia gatunków literackich, zdecydowanie dodaje zabawy przy czytaniu! Co do duńskiej pozycji, to bardzo ucieszył mnie fakt, że mogę ćwiczyć duński na komiksie Janusza Christy *Kajko i Kokosz*. Jest to o tyle ciekawe, że znam polską wersję bardzo dobrze z czasów dzieciństwa i jak tylko okazało się, że można kupić duńskie tłumaczenie Rune Brandta Larsena, to zamówiłam online.

Monika Grochocińska, zadomowiona w Kopenhadze łodzianka

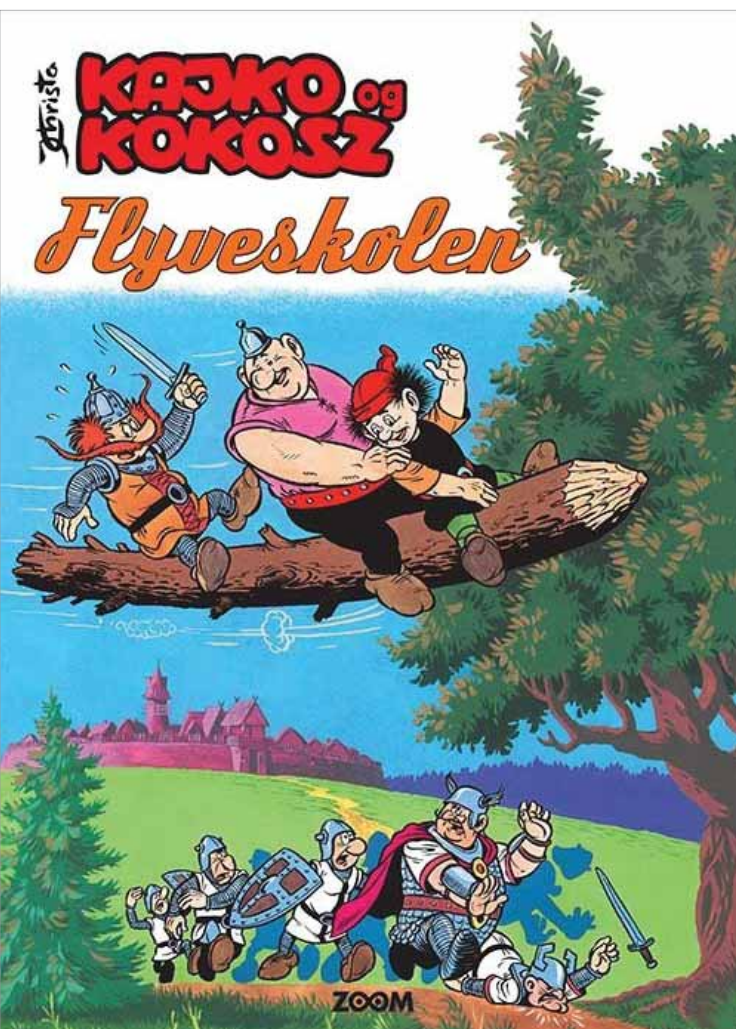
Z polskich tytułów muszę przyznać, że się nie popisałam, bo w tym roku przeczytałam tylko kodeks kar-

ny... Jeżeli natomiast miałabym wskazać książkę, czy w zasadzie dwie związane ze sobą książki po duńsku, to bez wahania byłyby to zbiory wierszy z 2013 i 2019, których autorem jest Yahya Hassan. Za szczerą do bólu oraz obraz siebie i świata bez zastosowania filtra Instagrama czy poprawności politycznej.

Roman Śmigielski, redaktor

Z książek polskich polecam thriller polityczny Romana Giertycha pt. *Kariera prokuratora Żółcia* (jestem w trakcie czytania, a jest to ciekawa lektura ze względu na autora i moment jej wydania). Po duńsku czytałem i polecam *Grażynę* i *Konrada Wallenroda* Adama Mickiewicza w tłumaczeniu Benta Christensena. Dodatkowo i nieskromnie zwróciłem uwagę na *Komitéen „Støt Solidaritet”* mojego autorstwa, też w duńskim tłumaczeniu Christensena.

* * *



Na koniec pozwolę sobie przytoczyć wypowiedzi współtowarzyszy tej mojej wyspiarskiej przygody:

Antoni Grabarczyk, prawie dwunastolatek, obserwator nieba i lotów kosmicznych NASA

Najbardziej podobała mi się książka o kosmosie pod tytułem *Planetarium*, bo lubię kosmos. Książkę napisał Raman Prinja. W 2020 r. przeczytałem najwięcej książek w życiu i prawie wszystkie mi się bardzo, bardzo podobały.

Paweł Grabarczyk, filozof, wykładowca IT University w Kopenhadze

Nadrabiałem w tym roku wiele lekturowych zaległości, ale skupię się na dwóch świeżych pozycjach. Pierwsza to *Faworyty* Manueli Gretkowskiej – książka, w której przypadku dziwić się można tylko temu, dlaczego powstała tak późno. Jej tematyka wydaje się bowiem idealnie skrojona pod autorkę, która opisując jedną epokę może pisać i o Francji, i o Polsce; o mądrych kobietach i naiwnych mężczyznach. A wszystko to w lekkim sosie karykaturalnej niekiedy rozpusty dworu Stanisława Augusta. Drugą książką jest *Pure Invention. How Japan's Pop Culture Conquered the World* Matta Alta. Jest to lekko napisana historia kilkunastu wynalazków technologicznych, którymi, jak wskazuje tytuł, Japonia zafajkowała świat. Przeczytamy w niej między innymi o trudnych początkach karaoke, o dziejach mangi, walkmana, japońskiego przemysłu gier a nawet o internetowych korzeniach nowego japońskiego nacjonalizmu, który o kilka lat wyprzedził bliźniaczy ruch *alt-right*, z którym zmagamy się na Zachodzie.

Anna Wiśniewska-Grabarczyk

badaczka cenzury Polski Ludowej, pisarka, dr nauk humanistycznych; (nie)wyspiarka, od 2018 r. mieszka na wyspie Amager w Kopenhadze

* * *

(Wszystkie zamieszczone w artykule wypowiedzi zostały autoryzowane.)

CO TO ZNACZY BYĆ POLAKIEM W POŁUDNIOWEJ BRAZYLI?

*rozmowa z dr hab. Karoliną Bielenin-Lenczowską, etnografką z Instytutu Etnologii
i Antropologii Kulturowej, Uniwersytetu Warszawskiego*



Mieszka Pani aktualnie w Brazylii i bada tamtejszą Polonię...

Swoje badania w Brazylii rozpoczęłam w 2015 roku, kiedy przyjechałam tu na stypendium podoktorskie do Florianopolis. Tutejsza Polonia, mimo że opisywana wcześniej przez historyków, etnografów czy lingwistów, jest grupą, którą warto nadal badać i obserwować.

Skupiła się Pani na badaniach w stanie Paraná...

Tu bowiem nadal mieszka największa grupa potomków polskich emigrantów.

Drugi raz przyjechała Pani do Brazylii w listopadzie 2019 roku...

I zajęłam się kontynuacją badań największej, jednej z pierwszych fal emigracyjnych – emigracji chłopskiej z końca XIX wieku, nazywaną „gorączką brazylijską”. Dziś wielu potomków tamtej emigracji, nawet czwarte czy piąte już pokolenie, nie wie, z której części Polski (będącej wówczas pod zaborami) przyjechali ich przodkowie. Prowadzone są różne badania językoznawcze stwierdzające na podstawie gwary lub

akcentu, z którego regionu Polski naprawdę pochodzili. Te badania są bardzo trudne – bywało bowiem i tak, że do tej samej miejscowości przyjeżdżali ludzie z kilku regionów. Polszczyzna różnych odmian mieszała się zatem ze sobą, z dialektami ukraińskimi oraz językiem portugalskim.

Wróćmy do Pani badań w Rio Claro do Sul...

To rozległa wieś z przysiółkami i tzw. koloniami, w której w większości mieszkają potomkowie emigrantów z Królestwa Polskiego, którzy przybyli tu w latach 1890–1891 – głównie z Lubelszczyzny, północnego Mazowsza oraz przybyli nieco później, osadnicy z Galicji. W Rio Claro, obok centralnej wsi, którą miejscowi Polacy nazywają „Klara” (mieszkam w Klarze, jadę do Klary) znajduje się także pięć kolonii, ponumerowanych od 1 do 5, w większości zamieszkałych przez potomków Polaków. Na kolonii nr 5 mieszkają w większości potomkowie Ukraińców.

Co Panią w Rio Claro najbardziej interesuje?

Prowadzę tu badania etnograficzne i etnolingwistyczne, czyli wywiady, obserwacje, a w obecnej

chwili – w czasie pandemii – obserwuję aktywność mieszkańców w Internecie. Interesuje mnie, jak ci ludzie, którzy de facto są już Brazylijczykami, posiadającymi brazylijski paszport, praktykują swoją polskość. Otrzymanie polskiego obywatelstwa jest dla nich praktycznie niemożliwe. Mało kto ma oficjalne dokumenty, potwierdzające ich polskie pochodzenie. Mogą natomiast liczyć na kartę Polaka. Zdają sobie jednocześnie sprawę, że ich język – archaiczny – mocno różni się od języka rodaków przyjeżdżających z Polski. O ile nie dziwi mnie gwara słyszana u ludzi starszych, o tyle używana wśród dzieci czy młodych i wykształconych brzmi dosyć zaskakująco. Mieszkańcy Rio Claro mazurzą, czyli mówią np. „wiecór” zamiast „wieczór”. Dzieci do swoich rodziców, czyli „łojców”, mówią per „wy”. Tak właśnie zwracali się do nas ludzie młodzi. Do ich archaicznego języka polskiego przeszło wiele zapożyczeń z portugalskiego. Są to np. nazwy roślin uprawnych, które w Polsce nie były jeszcze znane w XIX w. – np. *mileja* – kukurydza czy *fuma* – tytoń.

A co z innymi elementami polskiego dziedzictwa?

Za polskie dziedzictwo uważają wiele innych zwyczajów, m.in. tradycje skupione wokół jedzenia wywodzącego się z kraju ich przodków. To zresztą leży w obszarze mojego głównego zainteresowania – jak poprzez język oraz jedzenie wyraża się ich polskie dziedzictwo. Co to znaczy być Polakiem w południowej Brazylii.

Jak się Pani z nimi porozumiewa?

W dużej mierze rozmawiamy po polsku. Większość tutejszych ludzi w wieku średnim i starszym posługuje się polszczyzną płynnie, młodszy już różnie. Jedni rozmawiają lepiej, inni trochę gorzej. Prawie nikt nie pisze po polsku. Mamy tu do czynienia przede wszystkim z językiem mówionym. Wynika to z faktu, że polscy osadnicy pochodzili ze wsi – była to, w zdecydowanej większości, emigracja chłopska, zatem ludzie byli niewykształceni i niepiśmienni. Dopiero po kilku latach od przybycia pierwszych polskich osadników zaczęły tu powstawać i szybko się rozwijać szkoły. Nauka nie była jednak bezpłatna. Osadnicy, uznając, że wykształcenie dzieci jest bardzo ważne, ponosili wszystkie koszty związane z utrzymaniem nauki. Po pewnym czasie zaczęto tworzyć podręczniki szkolne, a niedługo potem zaczęły powstawać wydawnictwa i tworzone przez nie czasopisma.

Tak było do roku 1938...

... czyli do rozpoczęcia procesu nacjonalizacji przez ówczesnego prezydenta Getúlio Vargasa, polegające



Kurytyba-pomnik Sebastiana Edmunda Wosia Saporskiego (1844–1933) – pioniera osadnictwa polskiego w Brazylii (fot. L. Watróbski)

go na zamykaniu szkół, w których językiem wykładowym nie był język portugalski. Zakazywano w ten sposób używania języków imigrantów w przestrzeni publicznej. W wyniku tych działań likwidowano małe wiejskie szkoły – nie tylko zwalniano polskiego nauczyciela, lecz w zamian nie zatrudniano nikogo innego – żadnego brazylijskiego nauczyciela. W ich środowiskach powstała spora luka oświatowa, trwająca nawet kilka lat. Bywało i tak, że jedno pokolenie wychowywało się bez szkoły. Dlatego też obecnie większość nie pisze dziś i nie czyta po polsku. Są jednak wyjątki – to samouki, uczące się z dostępnych im w domu podręczników lub książeczek do nabożeństwa. W nauce pomagali również duchowni – siostry i księża, przyjeżdżający do Brazylii z kraju. Jeden z moich rozmówców jeszcze w latach 1950. uczył się religii od zakonnic po polsku. Obecnie obserwujemy odrodzenie języka polskiego – w wielu miastach prowadzone są kursy języka polskiego, a lektorami są Polacy z kraju lub osoby polskiego pochodzenia.

Kto dziś naucza w Paranie języka polskiego?

W Rio Claro, gdzie prowadzę swoje badania, aktualnie nie ma kursu języka polskiego. Zajęcia odbywają się jednak w pobliskim São Mateus do Sul – lektorka to Polka z kraju i to tam dojeżdżają też ludzie z Rio Claro. Lekcje odbywają się również w Mallecie (mieście gminnym), gdzie uczy pani Guizelia – bardzo aktywna potomkini Polaków. Nauka oparta jest na współczesnych podręcznikach, zatem potomkowie dawnych osadników uczą się współczesnego polskiego języka literackiego. W ramach swoich badań



Park i skansen im. Jana Pawła II w Kurytybie (fot. L. Watróbski)

dowiaduję się ponadto co tutejsi myślą i mówią o języku polskim. Ważne jest dla nich, aby mówić w języku ich przodków. Szczególnie wtedy, kiedy ich rozmówcy są Polakami. Jednocześnie zdają sobie sprawę, że rozmawiają „brzydko” po polsku – że „mieszają” i że to jest inny język niż jak ludzi z dzisiejszej Polski. Zdają sobie jednocześnie sprawę, że język jakim oni mówią warto pielęgnować i trzeba zachować. Szczególnie, że język jest też powiązany z religijnością. Moi rozmówcy podkreślają, że wprawdzie dobrze po polsku nie mówią, ale spowiadają się wyłącznie po polsku. Często spotykam osoby, które po polsku już nie mówią, ale poprawnie odmawiają różne modlitwy, takie jak np. *Ojcze Nasz*.

Czy możemy mówić o polskim szkolnictwie w Brazylii?

W tym kraju nie ma sieci polskich szkół, a jedynym miejscem, gdzie uczony jest polski to polonistyka na Uniwersytecie Federalnym Parany w Kurytybie, która w roku 2019 obchodziła swoje 10-lecie. Kierunek ten powstał po wieloletnich staraniach Polonii z Paraná – jest on pierwszym w Ameryce Południowej, umożliwiającym naukę w języku polskim, jako obcym, w ramach którego studenci zdobywają wiedzę o polskiej literaturze i kulturze. Przynosi ona też krajowi dyplomowanych nauczycieli, badaczy oraz tłumaczy. Polonistyka w Kurytybie może się również pochwalić wieloma projektami skierowanymi do społeczności

pozauniwersyteckiej oraz dotyczącymi m.in. kształcenia nauczycieli, tłumaczenia literackiego i wielojęzyczności, a jej pracownicy oraz studenci uczestniczą w krajowych i międzynarodowych programach, których celem jest wymiana doświadczeń w zakresie prowadzonych badań oraz procesów nauczania i uczenia się. Szefem tej katedry jest prof. Alicja Goczyła Ferreira, od roku 2015 wykładowczyni języka i literatury polskiej, a w latach 2006–2014 nauczycielka języka polskiego w Centrum Języków i Międzykulturowości przy tym uniwersytecie. Do kręgu jej zainteresowań naukowych należą: obecność języka polskiego w Brazylii, jego historia i współczesność w kontekście kontaktu językowego oraz jego nauczanie. Obecnie prowadzi badania socjolingwistyczne w wiejskich społecznościach polonijnych w Południowej Brazylii.

Na uniwersytecie w Irati, w stanie Paraná, ok. 200 km na zachód od Kurytyby, znajduje się centrum studiów słowiańskich. Z racji korzeni narodowościowych swoich mieszkańców, zajmuje się ono głównie sprawami polskim i ukraińskim. Tam również pracuje lektorka języka polskiego – Brazylijka polskiego pochodzenia – Sonia Niewiadomski.

Są także lektorzy języka polskiego delegowani przez polskie ministerstwo spraw zagranicznych...

Jest ich zazwyczaj kilkoro. Wśród nowych kandydatów nie ma jednak zbyt wielkiego zainteresowania pracą w brazylijskim interiorze – najczęściej w małej osadzie z trudnym dojazdem. Proszę pamiętać, że Bразylia jest jeszcze takim krajem, w którym znajomość języków obcych, poza dużymi miastami, jest ciągle niewystarczająca – szkółek języka polskiego w tym kraju ciągle więc jeszcze nie ma, a jedyne co musi na razie wystarczyć to pojedyncze kursy, przy okazji działania grup folklorystycznych, zazwyczaj finansowane z różnego rodzaju projektów miejskich.

Kursy językowe prowadzone przy zespołach folklorystycznych?

Jest ich tu coraz więcej. W moim regionie – w gminie Mallet, na terenie której położona jest Rio Claro, są dwa zespoły folklorystyczne: „Mazury”, „Kraków”, a w mieście sąsiednim São Mateus do Sul „Karolinka”. Wszystkie są bardzo aktywne. Szczególnie „Karolinka”, która brała wielokrotnie udział w różnych imprezach międzynarodowych. Zespół zatrudnia profesjonalnych choreografów i organizuje lekcje polskiego. Mają też piękne stroje z Polski oraz wyjeżdżają do Polski na festiwale – to sprawia, że grupy te przyciągają do siebie młodych ludzi.

Zachowanie polskiej tradycji i zwyczajów widoczne jest także podczas obchodów świąt kościelnych...

Najbardziej uroczysty charakter, który kojarzy się tu z zachowaniem polskiej tradycji widoczny jest w obchodach świąt wielkanocnych. Zachował się zwyczaj malowania jajek oraz przygotowanie święconki. Oczywiście pisanki to nie tylko tradycja polska, ale też ukraińska. Ukraińcy organizują tu nawet warsztaty malowania jaj. Natomiast zwyczaj przynoszenia do kościoła przed Wielkanocą i święcenia pokarmów przejęli od Polaków Brazylijczycy. Warto również dodać, że w drugi dzień świąt wielkanocnych czy bożonarodzeniowych, wszędzie tam, gdzie jest tylko taka możliwość, odprawiane są nabożeństwa po polsku.

Porozmawiajmy nieco o jedzeniu, który stanowi kolejny obszar Pani zainteresowań...

Kiedy, w trakcie mojego pierwszego pobytu w roku 2015 uczestniczyłam w kolacji wigilijnej, bardzo się zdziwiłam, że kolacja była zupełnie zwyczajna i nikt nie pościł. Pomyślałam wówczas, że być może na polskiej XIX-wiecznej wsi nie przestrzegano postu? Być może wynika to z faktu, że w tym regionie Brazylii jada się zawsze dużo mięsa i raczej trudno jest zasiąść do stołu i nie zjeść mięsa. Poza okresem świąt kościel-



Mrożone pierogi z supermarketu (fot. K. Bielenin-Lenczowska)

nych, ciekawy jest zwyczaj organizowania, na południu kraju, tzw. **Fest**, czyli świąt związanych z lokalnymi produktami, podobnych do naszych dożynek. I tak np. w miejscowości Aurea, w stanie Rio Grande do Sul (ok. 50 km na wschód od Erechim), którą uwa-



Procesja w stanie Paraná (fot. archiwum)

za się za polską stolicę w Brazylii (bo rzeczywiście mieszka tu nadal wielu ludzi z polskimi korzeniami, mówiących stosunkowo dobrze po polsku) bardzo widoczne jest pielęgnowanie kultury polskiej. Mieszkańców w tych działaniach wspierają pracujące tam od dawna polskie siostry zakonne, które pielęgnują ojczyste zwyczaje oraz troszczą się o znajomość języka polskiego. I właśnie tam odbywa się co roku święto czerniny, czyli czarnej polewki. Jest to czarna zupa, której podstawowymi składnikami są: rosół i krew kaczki, gęsi lub królika, rzadziej prosięcia. Dawniej podawano ją kawalerowi, który starał się o rękę panny i niestety otrzymywał odmowną odpowiedź (Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* wspomina o czarnej polewce, która miała być podana Jackowi Soplicy).

Mimo, że w Polsce zupa ta nie jest już tak popularna, tutejsi Brazylijczycy polskiego pochodzenia, nadal ją jedzą i uważają za ważny element swojej kulinarnej tożsamości. Innym tradycyjnym daniem, wokół którego organizowane są imprezy są pierogi. Ale, co ciekawe, są to głównie pierogi ruskie, podawane najczęściej głównie z sosem pomidorowym czy mięsnym.

W Brazylii będę najprawdopodobniej do grudnia 2021 roku. Mam zamiar do tego czasu skończyć swoje badania, a po powrocie do Warszawy opublikować ich wyniki.

rozmawiał Leszek Wątróbski



Dr hab. Karolina Bielenin-Lenczowska (fot. H. Patzer)

Dr hab. Karolina Bielenin-Lenczowska – etnografka, która w sferze swoich zainteresowań ma antropologię migracji oraz lingwistyczną, islam, etnografię Bałkanów oraz płęć kulturową (tzw. gender studies). Obecnie profesorka wizytująca w Departamencie Lingwistyki Uniwersytetu Federalnego Santa Catarina we Florianópolis.

DEN FØRSTE KREDS – PIERWSZY KRĄG

Duński epizod Aleksandra Forda



Po wyjeździe z Polski Aleksander Ford znalazł się w bardzo trudnej sytuacji zarówno zawodowej, jak i osobistej. Nie mógł pogodzić się z wyjazdem, nie chciał podjąć żadnej pracy zarobkowej, co powodowało narastające konflikty z żoną. Wsparcie otrzymał ze strony zachodnioniemieckiego producenta Artura Braunera, z którym wcześniej przygotowywali trzy projekty, Ósmy dzień tygodnia, *Lekarz stwierdza* i niedokończony *dr Korczak*. Za jego pośrednictwem dostał kilka propozycji filmowych oraz możliwość nawiązania współpracy z telewizją. Fordowi zależało jednak, aby jego pierwszy film zrealizowany po wyjeździe z Polski miał odpowiedni „ciężar gatunkowy”. Chodziło o zawarcie w opowiedanej historii odpowiedniej dawki humanizmu i zaangażowania w istotne problemy społeczne. Miał potrzebę silnego zaznaczenia swojego odcięcia od komunizmu. Do wyrażenia nowej wizji idealnie nadawała się ekranizacja książki *W kręgu pierwszym* autorstwa głośnego pisarza, również emigranta, Aleksandra Sołżycynina. Bezkompromisowa krytyka komunizmu i terronu stalinowskiego wydała się Fordowi odpowiednia dla wyrażenia żalu wobec ideologii, na której się zawiódł.

Ford skupił całą uwagę na próbie zainteresowania producentów swoim projektem. Wraz z rodziną prze-

niósł się do Izraela, gdzie nawiązał współpracę z firmą Gio i Godin, która chciała realizować *Pierwszy krąg*. Długi okres przygotowawczy do filmu wpędził rodzinę Fordów w kłopoty finansowe. Okazało się przy tym, że Ford, nie znając tutejszego rynku filmowego, padł ofiarą nieuczciwych producentów i spekulantów. Po wielu perturbacjach prawnych podpisało wstępne umowy na realizację filmu. *Pierwszy krąg* miała wyprodukować duńska firma Laterna Film przy wsparciu ze strony CCC Film – Kunst Artura Braunera i prywatnych spółek z Izraela. W czasie trwania zdjęć, nieukończony jeszcze film sprzedano amerykańskiej wytwórni Paramount Pictures, zapewniając Fordowi dystrybucję obrazu na całym świecie, a przede wszystkim w USA. Z drugiej strony międzynarodowa ekipa realizatorska powodowała duże zamieszanie i kłopoty natury organizacyjnej. Każdy z producentów chciał mieć wpływ na film i wymuszała na reżyserze swoje pomysły. Przed rozpoczęciem zdjęć Ford wraz z rodziną znów się przeprowadził, tym razem do Kopenhagi.

Scenariusz ekranizacji napisał osobiście Aleksander Ford, tłumaczenie i dialogi, które w wypadku koprodukcji są rzeczą pierwszorzędnej wagi, powierzył Eleonor Ford – swojej żonie. Obsada filmu również była międzynarodowa. Reżyser zadbał, aby

w filmie udział wzięli polscy artyści. Zdjęcia zrobił Władysław Forbert a scenografię Anatol Radzino-wicz. W jednej z głównych ról wystąpiła Elżbieta Czyżewska.

Film Forda jest wierną adaptacją książki. Upraszczając pewne wątki, zachowuje gorycz i ironię opowieści Sołżycynina. Akcja filmu rozgrywa się w Moskwie zimą 1949 roku. Przedstawia młodego urzędnika radzieckiego MZS Innocentego Wołodina, który przez telefon ostrzega znajomego profesora o planowanej prowokacji NKWD. Robi to, mimo że nigdy dotąd nie zdobył się na czyn heroiczny, będąc przez lata pokornym beneficjentem systemu stalinowskiego. Taśma z nagraniem rozmowy trafia do „szarazki”, specjalnego obozu dla skazanych naukowców, ich zadaniem jest odkrycie tożsamości informatora. Tymczasem więźniowie pracują nad specjalnym szyfratorem dla oświadczonego manią prześladowczą Stalina. Każdy z zamkniętych na wiele lat naukowców reprezentuje inną postawę wobec reżimu, któremu mimo niewoli służy.

Tytułowy *Krąg pierwszy* to nawiązanie do *Boskiej komedii* Dantego. „Szarazka” to pierwszy najwyższy i najłagodniejszy krąg piekła, który wydawać się może rajem w porównaniu z jego kolejnymi partiami. W więziennym laboratorium naukowcy mają prawo pracować, nie brakuje chleba, a strażnicy nie biją. Mimo strasznych warunków życia i podłego traktowania więźniowie wiedzą, że w prawdziwym syberyjskim łagrze dużo ciężiej jest przetrwać.

Trzeba tu dodać, że pierwsze książkowe wydanie *Kręgu pierwszego* Sołżycynina różniło się od tego dostępnego dzisiaj. Autor powieści przez szereg lat dodawał kolejne wątki i rozbudowywał niektóre postaci. Ostatnia redakcja z 1982 roku zawierała na przykład rozbudowany wątek Stalina, rysujący jego portret psychologiczny z czasu ostatnich lat sprawowania władzy.

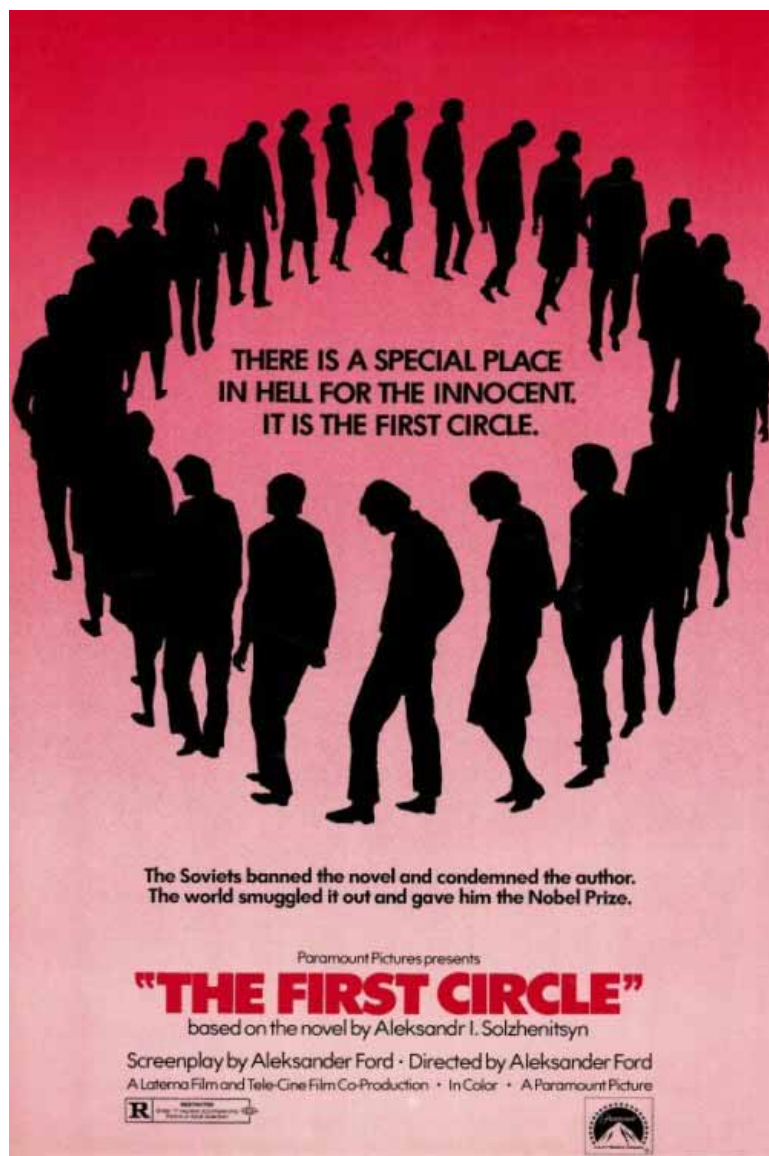
Ford, pracując nad adaptacją, skupia się przede wszystkim na postaci Wołodina (granego przez Petera Steena). Szczególną uwagę poświęca życiu bohatera zanim ten trafił do łagru oraz wzmagającemu się strachowi przed wizją aresztowania i rosnącej świadomości istnienia zbrodniczej machiny władzy. Drugim głównym wątkiem jest historia dwóch więźniów Gleba Nierżyna (Gunther Malzacher) i Doronina (Ole Ernst), którzy w trudnych warunkach obozowych walczą o zachowanie godności i człowieczeństwa.

Ford, biorąc po raz kolejny na warsztat głośną i znaczącą książkę popularnego pisarza, zapewnił sobie zainteresowanie prasy. Doszukiwano się podobieństwa między biografiami reżysera i pisarza, którzy

zmuszeni zostali do wyjazdu ze swoich ojczyzn. Nad adaptacją dyskutowano w mediach jeszcze przed premierą. Janicki wspomina: Ukazywały się liczne rozmowy z Fordem, w których podkreślał, że bezkompromisowo poszukiwać będzie prawdy, że polityka nie jest jego zawodem, że chce zrobić film dla ludzi, ale pozostanie wierny swojej zasadzie: ustępstwa nie prowadzą do postępu.

W czasie trwania produkcji kłopoty osobiste nie pozwalały jednak, by Ford mógł w pełni skupić się na pracy. Nieporozumienia między producentami zmuszały do kompromisów artystycznych. Gdy film został ukończony, wszyscy mieli poczucie niedosytu. Sam reżyser pisze w liście do swojej żony:

Pierwszy krąg w Kopenhadze był robiony w fatalnych warunkach (...) nie miałem dość pieniędzy na realizację, nie dali mi czasu na realizację. Jestem pewien, że moja robota nie była zła. Ale film nie mógł być pełny (...) był jakby skrótem tego, co powinno było mieć epicki charakter. Dlatego, kiedy oglądano tylko fragmenty, film podobał się – gra, atmosfera. W całości nie był taki, jaki mógł być. Bo nie było całości. Prócz



tego – i to już pod moim adresem – nie dałem z siebie wszystkiego. Nie mogłem poświęcić się całkowicie pracy. (...) Pierwszy krąg robiłem 25 dni zamiast 45, Za 2700 metrów taśmy zamiast 4700 metrów.

Stanisław Janicki przywołuje wycinki recenzji z amerykańskiej prasy, jakie można znaleźć obecnie w archiwum Muzeum Kinematografii w Łodzi. Krytyka dotyczyła przede wszystkim natrętnej i anachronicznej retrospekcji, stosowania stop-klatek z monologiem wewnętrznym bohaterów oraz nieudanego tłumaczenia dialogów z książki. Dla amerykańskiej prasy irytujący był również *dubbing* oryginalnej ścieżki dźwiękowej wprowadzonej przez hollywoodzkiego producenta. Dla przeciwwagi niemal wszędzie chwalono sposób, w jaki reżyser prowadził swoich aktorów. Krytycy z żalem mówili o uproszczeniach w stosunku do pierwowzoru literackiego i wyeliminowaniu nadziei i optymizmu, które mimo wszystko zawarte są w książce. Sam Sołżenicyn stwierdził podobno, że film Forda nie zasługuje na taką krytykę, jaka go spotkała.

Stanisław Janicki pisze o filmie:

Pochwała postawy uczuciowej, godnej, ludzkiej zaznaczona została wyraźnie i wyraziście, przede wszystkim w postaci Nierżina. Jest w niej głęboki tragizm, ukazany przekonująco, miejscami wstrząsająco. Krytycy spodziewali się czasami większej dawki „duszy rosyjskiej”, odniesień do Tolstoja czy Dostojewskiego. Dlatego też brakowało im owego kończącego powieść zdania: lecz w ich sercach pozostawał spokój. (...) Szablonowość niektórych postaci rzeczywiście obniża walory filmu. Dotyczy to przede wszystkim przedstawicieli szeroko rozumianej władzy w groteskowo-bufoniastym Stalinem na czele. Szokujące, nie zawsze pozytywne są flashbackowe retrospekcje, które budziły wątpliwości już w Pierwszym dniu wolności. Tu czynił z nich Ford ważnym dramaturgicznie elementem. I tak – jest Pierwszy krąg kolejnym, dyskusyjnym, nierównym, ale niebanalnym dziełem Forda.

Patrząc na film przez pryzmat jego dotychczasowych osiągnięć i poszukiwań artystycznych, można dostrzec, że w *Kręgu pierwszym* Ford starał się dalej rozwijać swój styl, nie bojąc się eksperymentowania z nowymi formami ekspresji i wypróbowywania nowych osiągnięć techniki filmowej. Z jednej strony widać w filmie kontynuację starych sposobów budowania nastroju w filmie, z drugiej zaś strony Ford stara się sięgnąć po nowe dla siebie środki wyrazu. Znowu portrety postaci były dla Forda priorytetem, znowu stosował długie ujęcia z jazdą kamery, przy tym jednak wprowadził nowatorski sposób fotografowa-



nia. Forma filmu wydaje się, jak zauważył Janicki, kontynuacją doświadczeń, jakie zdobył Ford w pracy nad *Pierwszym dniem wolności*. Prócz długich ujęć komponowanych za pomocą zbliżeń transfokatora reżyser zastosował wąskie kadry i długie obiektywy po to, aby maksymalnie skoncentrować się na ludzkich twarzach. Portrety pokazane w filmie, zarówno w ruchu, jak i w stop-klatkach, to główny element koncepcji wizualnej *Kręgu pierwszego*. Stosując częste retrospekcje, które zbijają widza z tropu, Ford poluzował więzi linearnej opowieści, przeplatając sytuacje dramatyczne według klucza emocjonalnego a nie chronologicznego. Stosowane są w taki sposób, aby pokazać, jak postaci postrzegają czas. Co ciekawe, nie

jeden, lecz wielu bohaterów kieruje retrospekcjami. W filmie opowiadającym o ludziach skazanych na wieloletnie więzienie taki sposób prowadzenia fabuły w ciekawy sposób ukazuje, że przeszłość i monotonna teraźniejszość przeplatają się ze sobą. Więźniowie rozpamiętują chwile spędzone na wolności. Retrospekcje wielokrotnie podobne są do odrealnionych wizji, surrealistycznych snów bohaterów, w których tragizm przebijający ze wspomnień bierze górę nad tym, co rzeczywiste i prawdziwe. Zaliczam do nich sekwencje bicia Doronina, który jest niczym wahadło zegara zawieszane między dwoma bezlitosnymi oficerami oraz scenę, gdy Gleb idzie na front, pozostawiając zrozpaczoną żonę.

Najmocniejszym atutem filmu jest gra aktorska. Ford po raz kolejny, mimo formalnych zabiegów, największą uwagę skupił na konstrukcji postaci i długim obserwowaniu twarzy aktora. Stop-klatki stosowane na portretach bohaterów to kolejny zabieg wrywający widza z zanurzenia się w oglądaną opowieść. Towarzyszy temu monolog wewnętrzny postaci. Ten drastyczny zabieg z początku może razić, później jednak uświadamia, że czas w życiu bohaterów stoi w miejscu, że jest taką permanentną stop-klatką, w której prowadzą długie rozmowy z samymi sobą.

Film posługuje się stonowanymi kolorami, akcja rozgrywająca się w zimie pozwala na stosowanie przygaszonej palety barw. Wszystko po to, aby stworzyć atmosferę przygnębienia. Cała scenografia tonie w głębokich cieniach. Stare mury klasztoru, w którym znajduje się więzienie, pozwalają dodatkowo na wydobywanie posępnego nastroju łągru. Operator, Władysław Forbert, stosuje mocne punktowe światło. Jego snopy oświetlają tylko część kadru, resztę pozostawiając w ciemności. Zdjęcia komponowane są przy tym w taki sposób, że w żadnej scenie więziennej nie dostrzegamy widoku z okien. Ciemne pomieszczenia z reflektorami świecącymi zamiast słońca przytłaczają widza. W kompozycji kadru ciekawą rolę pełni przestrzeń pozakadrowa, w której można dostrzec czyjaś obecność. Ni stąd, ni

zowąd ręka zza kadru podpala papierosa generałowi, w ciemnym kącie pojawia się sylwetka żołnierza. Potęguje to atmosferę ciągłej inwigilacji. Bohaterowie muszą być nieustannie czujni, zarówno więźniowie podsłuchiwani i budzeni w środku nocy, wojskowi i dyplomaci, którzy drżą na myśl o telefonie od przełożonego, jak i sam Stalin zlecający wynalezienie telefonu szyfrującego.

Film ukazuje przewrotność życia pod stalinowskim reżimem, gdzie jedynymi wolnymi ludźmi są więźniowie, bo tylko oni nie mają już nic do stracenia i niczego się już nie boją. Związek Radziecki, według Sołżenicyna i Forda, to piekło podzielone na kręgi z dzieła Dantego. Wszyscy jego mieszkańcy są więźniami, którzy prędzej czy później padną ofiarą bezlitosnego systemu. Uświadamiają to dobitnie ostatnie sceny, prezentujące dwie przeciwstawne postawy więźniów. Transportowani na Sybir śmieją się i kpią. W tym samym czasie osadzony w areszcie Wołodin boi się nieznanego. Nie wie jeszcze, że ma szansę – tracąc doczesne życie, może uratować swoje sumienie.

Film rozpoczyna się i kończy wymowną klamrą. Do takich zabiegów przyzwyczał nas reżyser już w swoich poprzednich dziełach. W sekwencji otwierającej film patetycznej rosyjskiej muzyce towarzyszą piękne ujęcia Moskwy widziane z perspektywy jadącego samochodu. Ostatnia scena też ukazuje podróż, słyszymy tę samą pieśń, jednak zamiast słonecznej stolicy obserwujemy bezkresny krajobraz śnieżnej pustyni Syberii, do której zmierza transport więźniów.

Do Polski sprowadzono tylko jedną kopię filmu na życzenie i do osobistego wglądu wysoko postawionych działaczy Komitetu Centralnego. Wszystkie pokazy były tajne i zamknięte. Po tych projekcjach było jasne, że Ford nie będzie miał szans na otrzymanie zgody Partii na powrót do kraju.

Filip Jacobson

(fragment pracy magisterskiej pt. *Wybrane aspekty biografii i twórczości Aleksandra Forda*, Łódź 2007)

Przepadł z Krotosem

rysunki współpracującego z „Informatorem Polskim”
rysownika z Gliwic p. TADEUSZA KROTOSA



KARPATKA



CIASTO

Składniki:

- 1 kostka masła lub margaryny
- 250 ml wody
- 2 szklanki mąki
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- szczypta soli
- 5 jaj

Masło lub margarynę i wodę zagotować. Wsypać mąkę i sól, wymieszać i prażyć 2–3 minuty (gdy ciasto będzie odchodzić od łyżki i gdy znikną grudki). Po wystudzeniu mieszać i dodawać pojedynczo jaja oraz proszek do pieczenia. Wyrobić. Podzielić ciasto na 2 części i każdą piec osobno na blasze (około 26 x 37 cm) około 15–20 minut w temperaturze 200 stopni.

KREM

Składniki:

- 1/2 litra mleka
- 2 łyżki mąki pszennej
- 2 łyżki mąki ziemniaczanej
- 1 łyżkę cukru waniliowego
- 1 szklanka cukru
- 1 kostka masła

Mleko zagotować z cukrem, dodać obie mąki, cukier waniliowy i ugotować. Ostudzić. Utrzeć masło i dodać małymi porcjami do wystudzonego kremu.

Przełożenie: ciasto – krem – ciasto. Wstawić na godzinę do lodówki.

UŚ

Velbekomme! Smacznego!

2020 BLIVER ET ÅR VI ALDRIG GLEMMER I POLAKKASERNEN

2020 har for os alle været det mærkeligste år i mands minde. Vi har alle på en eller anden måde været berørt af Covid-19-pandemien – således også Museum Polakkasernen i Tågerup på Lolland. Efter en meget flot besøgsæson i 2019 så vi frem til endnu et stort besøgstal i 2020. Det billede ændrede sig meget hurtigt i foråret, hvor alle aftalte gruppebesøg blev aflyst, og det fortsatte sommeren over og efteråret med.

Gruppebesøgene og de individuelle besøg, når vi har faste åbningstider i påsken, i de to sommermåneder og i uge 42, danner grundlaget for museets drift med indtægter som skal dække alle vore faste udgifter til forsikringer, el og vand, almindeligt vedligehold og opvarmning. På et tidligt tidspunkt måtte vi konstatere et indtægtstab på omkring 40.000 kroner. Vi kunne dog sammen med vore frivillige kustoder glæde os over et pænt individuelt besøg, og besluttede sidst i august at forlænge åbningssæsonen september med. I oktober deltog vi i Nakskov Sukkerfestival med en særudstilling fra museet og to foredrag på biblioteket i Nakskov.

Nødvendigt vedligehold

For ikke helt at gå i sort, besluttede vi at få udført en række påkrævede opgaver i museet. Vinduerne mod vest og i gavlen mod nord skulle kittes, afrensnes og

males med linoliemaling, tagrender og nedløbsrør skulle udskiftes og endelig skulle museets bagtrappe renoveres. Det krævede oprydning i trapperummet. Trappen og andre konstruktioner var stærkt angrebet af borebiller og store partier måtte udskiftes – blandt andet også reposen på 1. sal, ligesom trappen skulle understøttes. Maling og udskiftning af tagrender blev for egne midler lagt i hænderne på et lokalt firma, mens renovering af trappen i oktober blev udført af etnograf Wojciech Marchlewski og en medhjælper med økonomisk støtte fra det polske kulturministerium, en polsk fond og en lokal fond. Nu mangler blot istandsættelsen af selve trapperummet.

Arrangementer aflyst

Museets Venneforening har ligget underdrejet på grund af Covid-19-pandemien. Vi kunne ikke i foråret som planlagt afvikle vor generalforsamling, og sommerfesten måtte også aflyses. Vi besluttede at orientere vore medlemmer pr. brev, og nu håber vi, at vi kan mødes i 2021. Nok har året 2020 på mange måder været mærkeligt, men for Polakkasernens vedkommende har det også været overraskende og glædeligt.

Historisk pris

I oktober fik vi således meddelelse om, at vi af Det statslige polske Institut Pamięci Narodowej (IPN) var blevet tildelt den fornemme internationale polske pris "Historiens Vidner." Vi var indstillet til prisen af pastor emeritus Bent Christensen, der er medlem af museets venneforening. Vi har tidligere været indstillet til prisen af Roman Smigielski og af Roman Miedzianogora, så tredje gang var lykkens gang. Planen var at jeg og formanden for Venneforeningen; Marek Kocuba, skulle modtage og takke for prisen ved en sammenkomst i Warszawa den 21. oktober på slottet på øen i Łazienki Królewskie. Der var bestilt billetter og kufferterne var pakket. Desværre blev hele arrangementet, hvor vi skulle samles med fem øvrige prismodtagere, aflyst aftenen før, vi skulle afsted. Prisen tildeles enkeltpersoner og organisationer som anerkendelse af deres fremragende bidrag

Den polske pris "Historiens Vidner"



Muzeum „Izba Polska”





Formanden for DSI Museum Polakkasernen, Torsten Elsvor, takker rørt: – Polakkasernen er et barn af beboerforeningen, og gammel kærlighed ruster ikke. I baggrunden fortælles på plancher historien om museets spæde start i 1984. Nu er den nedlagte beboerforening med til at fremtidssikre museet. (Foto: Ingrid Riis/Folketidende)

til at styrke kendskabet til den nyere polske historie gennem beskrivelse og bevarelse, og derved tjene den polske nation og polakker uden for landet. Vi er selvsagt stolte af i Danmark at modtage denne fornemme anerkendelse i selskab med lande som Japan, Tjekkiet, Litauen, Holland og Ungarn.

En fornem donation

Og knap havde overraskelsen og glæden over denne internationale pris lagt sig, før vi i DSI Museum

Polakkasernen blev overvældet lokalt med en kontant donation på hele 100.885,82 kroner. De mange penge kom fra den nu nedlagte Tågerup og Omegns Beboerforening. Museum Polakkasernen er et barn af beboerforeningen, som da Den Selvejende institution Polakkasernen blev dannet i 1984 ved Tågerup Sogns Beboerforening. Jeg var dengang formand for beboerforeningen, som ønskede at bruge en del af Polakkasernen som beboerhus, og tog initiativ til at danne DSI Polakkasernen med et indskud på 5000 kroner fra beboerforeningen for at kunne skaffe midler til istandsættelse af bygningen, indrette mindestuer og museum i underetagen og samlingslokale for de lokale beboere på første sal. Jeg mindes med glæde det store og gode fællesskab, vi havde dengang. Efter intern uenighed trak beboerforeningen sig på et tidspunkt ud af Polakkasernen og etablerede sig i stedet i et nærliggende forsamlingshus. Foreningen købte dette hus, som nu er blevet solgt i forbindelse med nedlæggelsen af foreningen.

Men gammel kærlighed ruster ikke, og ringen er på sin vis sluttet. Det var for mig en meget bevæget dag, da beboerforeningen gav sin formue videre til Museum Polakkasernen.

Torsten Elsvor
formand for DSI Museum Polakkasernen



Formanden for den nu nedlagte lokale beboerforening, Henning Kristiansen overrækker sammen med den afgående bestyrelse den fornemme donation til formanden for Museum polakkasernen, Torsten Elsvor. (Foto: Ingrid Riis/Folketidende)

SZKOŁA

Model edukacji

System szkolnictwa publicznego w Królestwie Danii dzieli się na: szkoły podstawowe, gimnazja oraz szkoły zawodowe.

Szkoła podstawowa trwa 10 lat, jest bezpłatna i jednolita. Zaczyna się od klasy 0, do której uczęszczają dzieci od 6 lub 7 lat, aż do klasy 9. (klasa 10. ma charakter fakultatywny w zależności od wyboru dalszej ścieżki edukacji). Gotowość dzieci do pójścia do szkoły oceniana jest w przedszkolu, pozytywna decyzja pedagoga, oznacza dla rodzica możliwość zapisania dziecka do szkoły.

Z uwagi na specyfikę duńskiego społeczeństwa w Danii nie ma obowiązku szkolnego jako takiego, istnieje jednak obowiązek nauczania (rodzice mogą, w zgodzie z odpowiednimi przepisami *Lov om folkeskolen* samodzielnie edukować dziecko) i obowiązek edukacyjny (od 7. do 16. roku życia), co oznacza, że dzieci mają obowiązek uczyć się i zdobywać wiedzę.

Postępy w nauce oceniane są na koniec semestru w formie opisowej z odnotowaniem postępów i ewentualnych problemów edukacyjnych. Jeśli dziecko ma bardzo poważne problemy z nauką, są dla niego organizowane zajęcia wyrównawcze.

Egzaminy końcowe, na zakończenie szkoły podstawowej (9. lub 10. klasa), są obowiązkowe i dotyczą wszystkich uczniów.

Po szkole podstawowej uczniowie mogą wybrać naukę w:

- gimnazjum – trzyletnim ogólnokształcącym (odpowiednik polskiego liceum, przygotowujący do egzaminu maturalnego i studiów wyższych),
- szkole zawodowej – przygotowującej do podjęcia pracy.

W Danii istnieje też system szkolnictwa prywatnego (np. prywatnych szkół katolickich czy szkół międzynarodowych), gdzie koszty edukacji współfinansowane są przez rodziców.

Rok szkolny

Rok szkolny w Danii zaczyna się już w połowie sierpnia (33. tydzień), a kończy z końcem czerwca (25. tydzień roku). Standardowe przerwy to jesienne ferie (cały 42. tydzień), przerwa świąteczna (Boże Narodzenie i Nowy Rok), ferie zimowe (cały 8. tydzień), ferie wielkanocne (cały wielki tydzień) i 6 tygodni wakacji letnich. Przedszkola, co do zasady, pracują także w wakacje, ustalana jest 3-tygodniowa przerwa na przełomie lipca i sierpnia.

Zajęcia odbywają się od poniedziałku do piątku i trwają po 45 minut (w zależności od gminy, godziny zajęć lekcyjnych mogą się różnić). Zwyczajowo uczniowie nie otrzymują pracy domowej, bywa ona zadawana tylko na weekendy. Znany z polskiego systemu oświatowego zwyczaj wystawiania ocen pojawia się dopiero w starszych klasach.

Dzieci dostają wszystkie książki, zeszyty i materiały dydaktyczne w szkole. W całej Dani obowiązują te same podręczniki. Nie są organizowane zajęcia religii, natomiast w programach szkolnych znajduje się odpowiednik religioznawstwa, który obejmuje 4 obszary, takie jak filozofię życia i etykę, opowieści biblijne, chrześcijaństwo i religie niechrześcijańskie.

Wiele dzieci po szkole uczęszcza do świetlicy (SFO) lub korzysta z programu zajęć pozaszkolnych.

Procedura naboru dziecka do szkoły

W Danii, co do zasady, obowiązuje rejonizacja. Zapisy dzieci do żłobka, przedszkola i szkoły odbywają się elektronicznie przez serwis www.borger.dk, gdzie wybiera się gminę właściwą ze względu na miejsce zamieszkania. Niezbędne jest posiadanie numeru NemID (elektroniczny identyfikator, który otrzymują

osoby z prawem pobytu w Danii). Wybór szkoły w dalszej od miejsca zamieszkania gminie może wiązać się z koniecznością oczekiwania na miejsce (pierwszeństwo mają dzieci mieszkańców). Szkoły prywatne indywidualnie ustalają zasady naboru, niezbędny jest więc każdorazowo kontakt z wybraną szkołą.

Obowiązki i prawa ucznia

Nie ma zasadniczo różnic od uregulowań polskich w tym zakresie. Warto jednak odnotować, że duński system szkolny jest zorientowany na kształtowanie zachowań społecznych, pracy w grupie, unikanie rywalizacji (indywidualizm jest traktowany jako niepożądana postawa), czy nauki na pamięć. Uczeń ma zdobyć umiejętność krytycznego myślenia i jest zachęcany do dialogu i wyrażania własnych opinii. Dużą wagę przywiązuje się do tego, by dziecko chętnie chodziło do szkoły, a ta kształtowała ciekawość świata i chęć samorozwoju. Szkoły duży nacisk kładą również na aktywność ruchową dzieci, jest wiele zajęć gimnastycznych zarówno lekcyjnych, jak i pozalekcyjnych, dzieci spędzają też dużo czasu na świeżym powietrzu, gdzie czasem także odbywają się lekcje. Niezależnie od pogody uczniowie w przerwach wychodzą na podwórko.

Obowiązki i prawa rodzica

Nieusprawiedliwione nieobecności dziecka w szkole mogą się wiązać z utratą zasiłku rodzinnego na dziecko. Oczekiwane jest, że rodzice będą wspierać integrację i spotkania dzieci także po szkole, a sami będą brać udział w szkolnych imprezach i wydarzeniach (organizowanych zwykle za symboliczną opłatą). Rodzice są też zobowiązani stosować się do gminnych wezwań do stawienia się z dzieckiem u stomatologa czy ortodonta (bezpłatne do 18. roku życia).

System wsparcia szkolnego

W szkołach funkcjonuje SFO, czyli świetlica, gdzie odpłatnie dziecko może spędzić czas po lekcjach, ale także w czasie ferii i wakacji.

Niektóre szkoły oferują wsparcie psychologiczne. W razie jego braku rodzice mogą liczyć na pomoc gminy w jego uzyskaniu.

Uczniowie do 18. roku życia są objęci pełną bezpłatną opieką stomatologiczną.

Wsparcie władz lokalnych

Zasadą jest dostępność miejsca w żłobku, przedszkolu i publicznej szkole.

Jeżeli dziecko nie zna w wystarczającym stopniu języka duńskiego, jest umieszczane w szkole/klasie przejściowej do momentu, w którym wystarczająco opanuje język.

Szkoła pomaga też dzieciom, które mają problemy w nauce, organizując dla nich dodatkowe lekcje z problematycznego przedmiotu.

Wiele instytucji zatrudnia dwujęzyczny personel, który może służyć pomocą podczas rozmowy. W razie potrzeby angażowany jest tłumacz.

Dzieci w szkole dostają darmowe podręczniki oraz szkolne iPady (na zasadzie użyczenia, rodzice podpisują odpowiednią umowę cywilnoprawną).

Najczęstsze nieporozumienia

Polskich rodziców często zaskakuje oczekiwanie integracji i włączenia w życie społeczności szkolnej, a także stosunkowo duże zainteresowanie duńskiego państwa opiekuńczego warunkami życia i rozwoju dziecka, jego komfortem psychicznym, czy zmianami w życiu osobistym rodziny.



Tablica: 10% urwisów, 90% spokojnych. Głos ucznia z ostatniej ławki: To chyba jest na odwrót.

Źródło: <https://dziecizagranica.gov.pl/dania/>

PUBLICZNA OPIEKA ZDROWOTNA I WSPÓŁPŁACENIE, CZYLI DUŃSKI SPOSÓB NA OCHRONĘ ZDROWIA

98 proc. szpitali w rękach publicznych, pieniądze za wykonane świadczenie i współpłacenie pacjentów za część procedur medycznych – tak w skrócie wygląda opieka zdrowotna w Danii. Efekty są bardzo dobre. Większość pacjentów jest zadowolonych z tego, jak funkcjonuje duńska opieka zdrowotna.

Dania liczy niespełna 6 mln mieszkańców. Podobnie jak w większości innych krajów, problemem jest starzejące się społeczeństwo. Dziś przewidywana długość życia w Danii wynosi ponad 81 lat. Wzrasta liczba osób z przynajmniej jedną chorobą przewlekłą.

80 proc. świadczeń zdrowotnych w Danii finansowanych jest ze środków publicznych. Dla pacjentów całkowicie bezpłatne jest leczenie szpitalne, podstawowa opieka zdrowotna i ambulatoryjna opieka specjalistyczna. Duńczycy dopłacają za to do opieki stomatologicznej dla dorosłych, do recept czy do terapii w niektórych chorobach przewlekłych.

Opieka zdrowotna finansowana jest z podatków. Środki z budżetu trafiają w większości na określone potrzeby zdrowotne. Część (około 5 proc.) otrzymują do dyspozycji regiony, które najczęściej wykorzystują dodatkowe środki na rozładowanie kolejek. Z budżetu centralnego 77 proc. środków trafia na leczenie szpitalne, 8 proc. na podstawową



Lekarze medycyny ratunkowej



Leczenie zdalne

opiekę zdrowotną i 7 proc. na leki. Większość świadczeń jest finansowana w systemie *fee for service* (np.: cała ambulatoryjna opieka specjalistyczna i większa część świadczeń w podstawowej opiece zdrowotnej).

Jak wskazują badania opinii publicznej, pacjenci w Danii są zadowoleni z opieki szpitalnej. Tak ocenia tę opiekę 90 proc. badanych. Jedną z zasad, która może mieć na to wpływ może być to, że jeśli pacjent czeka dłużej niż miesiąc na opiekę w publicznym szpitalu, może bezpłatnie skorzystać z opieki prywatnej. W szpitalu diagnoza musi być postawiona w ciągu 30 dni. Pacjent ma też prawo wyboru szpitala, w którym chce się leczyć.

AS

EKUZ

Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ) działa w krajach Unii Europejskiej (UE) i Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (EFTA).

Czy wszystkie świadczenia za granicą sfinansuje NFZ?

To zależy od kryteriów udzielania świadczeń w danym kraju. Za niektóre świadczenia, które w Polsce są bezpłatne, za granicą musisz zapłacić.

Ogólne zasady

Z EKUZ otrzymasz w Danii niezbędną pomoc medyczną. To lekarz, który udziela pomocy, decyduje, które świadczenie jest dla Ciebie niezbędne. Bierze pod uwagę Twój stan zdrowia oraz planowany okres pobytu w Danii. W momencie zagrożenia zdrowia masz prawo do takich samych świadczeń w duńskiej publicznej służbie zdrowia jak obywatele Danii. I na takich samych jak oni zasadach.

Jak skorzystać z leczenia

Jeśli potrzebujesz pomocy medycznej, weź ze sobą EKUZ, dowód osobisty lub paszport i udaj się do najbliższej placówki publicznej służby zdrowia. Musi ona mieć umowę z państwową służbą zdrowia. Listę takich placówek znajdziesz w Wydziałach Zdrowia i Spraw Społecznych każdej gminy (albo regionu) lub w książce telefonicznej pod hasłem *Læger*.

Lekarze przyjmują w godzinach 8.00–16.00, a poza tymi godzinami mają dyżury. Jeśli potrzebujesz porady lekarskiej poza godzinami przyjęć, informację o dyżurujących lekarzach znajdziesz pod numerem telefonu: 118. W Kopenhadze istnieje numer telefonu dla turystów, pod którym można umówić wizytę lekarską: w dni robocze od 8.00–16.00 jest to numer 33 15 46 00, w pozostałych godzinach – numer 70 13 00 41.



Lekarz pierwszego kontaktu może Ci dać skierowanie do specjalisty lub szpitala. Zachowaj je – będzie potrzebne podczas przyjęcia. W nagłych przypadkach możesz zgłosić się bez skierowania lub zadzwonić pod numer alarmowy – *lægevagt*: 112.

Za co trzeba zapłacić

W Danii za niektóre świadczenia trzeba zapłacić, mimo że w Polsce są bezpłatne. Nie są one wtedy zwracane przez NFZ. Darmowe jest leczenie ogólne, specjalistyczne i szpitalne. Oto przykładowe, płatne świadczenia w Danii i ich szacunkowe koszty:

- **leczenie stomatologiczne prewencyjne** – pacjent płaci za wszystkie koszty, a następnie może ubiegać się o ich częściowy zwrot w urzędzie gminy. Koszty są zwracane w wysokości 40% lub – w przypadku osób do 26 lat – 65%,
- **koronki oraz protezy zębowe** – pacjent musi pokryć wszystkie koszty i nie ma możliwości ubiegania się o ich zwrot,
- **opłata za leki refundowane** – gdy wykupujesz leki po raz pierwszy, otrzymujesz kartę z numerem identyfikacyjnym, którą musisz okazać przy zakupie leków. Są na niej zapisane wszystkie Twoje wydatki na leki. Pacjent płaci za leki, a następnie może ubiegać się o ich częściowy zwrot w urzędzie gminy. Jeśli roczny zakup leków nie przekroczył 925 koron, zwrot przysługuje tylko za leki dla dzieci – 60% kosztów. Powyżej tej kwoty przysługuje zwrot w wysokości 50%, 75% lub 85% – w zależności od poniesionych wydatków.

Transport powrotny do Polski jest całkowicie płatny przez pacjenta.

Czy EKUZ obejmuje leczenie koronawirusa

W Danii otrzymasz pomoc w przypadku koronawirusa na takich samych zasadach jak obywatele tego kraju. Natomiast koszty transportu sanitarnego do Polski musisz pokryć we własnym zakresie.

Jak otrzymać receptę

Jeśli potrzebujesz receptę na leki, udaj się do lekarza lub stomatologa, który ma umowę z państwową służbą zdrowia.

Czy można otrzymać zwrot za leczenie prywatne

Wszystkie koszty leczenia w duńskich placówkach spoza publicznego systemu ochrony zdrowia pacjent pokrywa we własnym zakresie. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy zostanie skierowany na leczenie prywatne przez szpital publiczny.

Po powrocie do Polski możesz ubiegać się o zwrot poniesionych kosztów. Zostaną one jednak zwrócone zgodnie z polskimi stawkami, które obowiązują w rozliczeniach między NFZ a polskimi świadczeniodawcami. Zwracana kwota nie może przekroczyć faktycznie poniesionych wydatków.

Poznaj warunki i tryb ubiegania się o zwrot kosztów leczenia w placówkach prywatnych.

Jak otrzymać zwrot kosztów leczenia

Jeśli założyłeś za leczenie w Danii własne pieniądze, możesz je odzyskać na dwa sposoby:

1. W duńskim urzędzie gminy (kommune).
2. W NFZ – złóż do swojego oddziału NFZ wniosek o zwrot poniesionych kosztów.

Do wniosku dołącz oryginały rachunków oraz dowodów zapłaty, kartę z apteki i recepty.

Gdzie szukać dodatkowych informacji

Więcej informacji na temat systemu ochrony zdrowia w Danii uzyskasz w gminie (kommune) bądź w instytucji łącznikowej:

Danish Patient Authority
EU Health Insurance accounting
Islands Brygge 67
2300 Copenhagen S
Tel:+45 72 28 66 00
<https://stps.dk/en/>
stps@stps.dk

PŁOWDIW

Płowdiw – drugie po Sofii pod względem liczby mieszkańców miasto Bułgarii i jedno z najstarszych w kraju.

Z odkryć archeologicznych przeprowadzonych na terenie miasta i w jego pobliżu wynika, że było ono zamieszkane na długo przed I tysiącleciem p.n.e. Do IV stulecia p.n.e. znajdował się tu warowny gród Traków o nazwie *Eumolpias*. W roku 342 p.n.e. został on podbity przez Filipa II Macedońskiego. Wtedy miasto zostało nazwane *Filipopolis* (*Philippopolis*). W 46 roku miasto przejęli Rzymianie i nazwali je *Trimontium* – miasto na trzech wzgórzach. Uczynili je głównym miastem Tracji. Biegł tutaj ważny szlak bałkański – *Via Diagonalis*. Rzymianie wzbogacili miasto o stadion, teatr, liczne łaźnie i wiele innych budowli.

Po upadku Rzymu, we wczesnym średniowieczu tereny te zasiedliły plemiona słowiańskie, a w IX wieku Płowdiw wszedł w skład pierwszego państwa bułgarskiego. Przez następnych kilka stuleci miasto było graniczną twierdzą bizantyjską. Wskutek tego czterokrotnie płądrowali je krzyżowcy. W 1363 roku wpadło w ręce Turków, którzy nadali mu nazwę *Filibe*.

W roku 1878 po zakończeniu wojny rosyjsko-tureckiej miejscowość otrzymała obecną nazwę Płowdiw, a po kongresie berlińskim do 1885 roku była stolicą prowincji tureckiej – autonomicznego regionu Rumelia Wschodnia. 6 września 1885 zajęły ją wojska bułgarskie, a pół roku później (24 marca 1886) całkowite zwierzchnictwo nad prowincją i miastem Turcja przekazała Bułgarii.

W 1882 roku zorganizowano tam po raz pierwsze Targi Płowdiwskie, które przyczyniły się do rozwoju gospodarczego miasta. Odtąd stało się ono głównym ośrodkiem handlowym Bułgarii.

W 2019 miasto było Europejską Stolicą Kultury.





PŁOWDIW

fot. Roman Śmigielski



Odwiedź stronę internetową
Muzeum Izba Polska

<http://www.polakkasernen.dk/pl/>

Besøg
Museum Polakkasernens
hjemmeside

<http://www.polakkasernen.dk>

MobilePay 25 77 92 01

